№ 32. Warszawa, dnia 11 Sierpnia (30 Lipca) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. **7**.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Nowoczesny dopływ antisemityzmu. —Dwie miary i dwie wagi p. J. L. P.—U wód, z dziennika margrabiego de Roseveyre przełożył Guy de Maupassant, tłom. Ad. J. C. — Władysław Ludwik Anczyc (wspomnienie pośmiertne) p. K. — Jasełka krakowskie p. Prawdzica. — Prawa fabryczne V. p. dr-a A. Złotnickiego. — Wycieczka do Alzacyi IV. p. J. Karłowicza. — Wiersz Juliusza Słowackiego do Adama Mickiewicza.—Liberum veto p. Posła Prawdy.— W perspektywie p. Maryana Bohusza. — Dziwna ustawa. — Na Ischil. — Tydzień polityczny.—Cudze głosy.—Kronika bieżąca.—Odpowiedzi redakcyi.— Ogłoszenia.

NOWOCZESNY DOPŁYW ANTISEMITYZMU.

Dramat tisza-eszlarski, który w ostatecznem swem rozwiązaniu przed kilku dniami okazał się zręcznie z przebiegłej intrygi usnutą komedyą, słusznie zajął uwagę cywilizowanego świata i przez cały rok drażnił ciekawość po za swą właściwą sceną. Czytelnikom naszym znajomą jest niewątpliwie treść słynnej sprawy, osądzonej świeżo w Nyjregyhazie: grupę żydów węgierskich uwięziono i oskarżono o zabicie dziewczyny chrześciańskiej, Estery Solimossy, w celach religijnych — dla otrzymania krwi potrzebnej do spełnienia pewnych obrządków. Cały proces oparł się na świadectwie syna jednego z oskarżonych, młodego Scharfa, który zeznał, iż przez dziurkę od klucza bóżnicy widział morderstwo. Samo zachowanie się tego właściwego a ostatecznie, po kapitulacyi prokuratora, jedynego oskarżyciela w sali sądowej, który, jak pozytywka, bez żadnego współczucia dla ojca, powtarzał swój pacierz obwiniający i który pod koniec, gdy mu obrońcy krzyżowanemi pytaniami powyłamywali niektóre kołeczki, odgrywał splątaną i na wszystkich punktach dowodnie zaprzeczoną bajkę — samo — mówimy — zachowanie się tego malca, psychologicznie dziwne a przedmiotowo fałszywe, nie budziło wiary w możliwość wykazania winy podsądnych. Gdy dalszy ciąg procesu, w którym szczegółowe badanie ujawniło całą siatkę nadużyć i przekonało, że sędzia śledczy działał ze złą wiarą, bo fałszował protokóły i wymuszał udręczeniami pożądane zeznania, że przekupywano świadków a do podrabiania oskarżeń używano kryminalistów, że z oględzin trupa odnalezionego w rzece wyłączono obrońców itd. — gdy te wszystkie czarne nici, któremi zszyto proces, wyszły na wierzch a prokurator sprawy zmienił się na jej adwokata, niewinność podsądnych a przynajmniej bezzasadność zebranych dowodów nie ulegała dla sprawiedliwego sumienia żadnej wątpliwości. Jeżeli zatem ktokolwiek z bezstronnie zainteresowanych owym procesem był niepewnym wyroku, to tylko dlatego chyba, że przypuszczał możliwość zwycięstwa silnie rozwiniętej w Węgrzech agitacyi przeciw żydom nad słusznością. Okazało się wszakże, że byłby to gwałt zbyt krzyczący — i sąd uwięzionych uwolnił.

Opuśćmy kłamliwie spotwarzonych i zastanówmy się nad pytaniem, które w podobnych wypadkach posiada największą wagę, mianowicie: jeżeli żydzi nie zabijają dzieci chrześciańskich w celach rytualnych, czy podobna, ażeby wiara w tę ich zbrodnię utrzymywała się od tylu wieków i znalazła dziś kredyt, oraz ażeby na poparcie jej można było zyskiwać jeszcze naocznych świadków?

Zarzut posługiwania się krwią dzieci innowierców w obrządkach religijnych nie spoczywał na samych żydach, gdyż wiadomo, że pojawiał on się w najrozmaitszych stosunkach a nawet pogańscy rzymianie obciążali nim tych samych chrześcian, których potomkowie fabrykują dziś procesy tisza-eszlarskie. Musi on zatem mieć swoje źródło nie w okrucieństwie jednej rasy lub narodu, lecz w jakiemś ogólniejszem uczuciu ludzkiem. Rzeczywiście zrodziła go fanatyczna nienawiść. Jeżeli zastanowimy się uważnie, to dostrzeżemy, że niepodobna wymyśleć potworniejszego a więc skuteczniejszego środka dla zohydzenia wrogów religijnych, nad posądzenie ich, że mordują innowiercze dzieci ku czci swego Boga. Jest to zbrodnia zdolna najsilniej wstrząsnąć uczuciami człowieka. Nic też dziwnego, że tym bodźcem rzymianie podburzali tłumy pogańskie przeciw chrześcianom i że on tradycyjnie jako wypróbowana broń przechowywa się do walki z żydami. Nic to nie pomaga, że na tyle procesów, wytoczonych o używanie krwi chrześciańskiej, ani w jednym wypadku nie udowodniono im winy *); ciemne masy historyi nie czytają, a ich fanatyczni kierownicy jej nauk rozpowszechniać nie chcą. Zresztą często na niewiele by się to przydało. W umysłach ludu nieukształconego tkwi zawsze wiara w najdziwaczniejsze nieprawdopodobieństwa. Niejeden chłop węgierski lub polski z tą samą szczerością przysięgnie w sądzie, że widział żydów mordujących dziecko chrześciańskie, z jaką przysięga, że widział św. Agatę, gaszącą pożar wiejskiej chaty. Ktoś opowiadał nam, iż podczas rozruchów grudniowych w Warszawie posłał na dół domu do sklepu służącą, która wróciwszy po *paru minutach* ze sprawunkiem, upewniała go, że widziała własnemi oczyma, jak na dość oddalonej ulicy żydzi zatrzymali pogrzeb katolicki i wyrzucili z trumny trupa do rynsztoka. To też przypuszczamy, że niejeden świadek w procesie tisza-eszlarskim był silnie przekonanym o zamordowaniu Estery w bóżnicy.

Ta wszakże z zabobonu płynąca, do przyjmowania wszelkich okropności skłonna wiara tłomaczy nam tylko możliwość zdobycia materyału do oskarżeń przeciw żydom, ale sama nie usprawiedliwia tego gwałtownego ruchu antisemickiego, jaki się od lat kilku rozpościera w Europie. Objaśnia go nowy żywioł, który na jego wzmocnienie wpłynął — społeczny. Wskrzeszenie nienawiści do żydów przypadło równocześnie z odrodzeniem się socyalizmu. Świadomi i nieświadomi (takich

*) Zrekrutował się w różnych literaturach szereg pisarzy, którzy usiłowali takie dowody z przeszłości zebrać; wartość wszakże tych świadectw wyrównywa zupełnie wartości zeznań w procesach czarownic.

jest bardzo wielu) jego apostołowie przeprowadzili ze źródeł religijnych płynący strumień na swoje koło i zaczęli jego siłą mleć swoją mąkę. Kiedyś żydzi — był to, a dla ciemnych mas jest dotąd tylko lud niewierny, z którymi walczyła prawowierność; dziś przedstawiają oni zarazem kapitał, z którym walczy praca. Jedno z pism naszych pomieściło z naiwnej ręki wziętą korespondencyę, że po uniewinniającym wyroku w Nyjregyhazie antisemici wyściskali się i wycałowali ze swymi wrogami. Gdyby nawet pod tą sielanką wydrukowane telegramy nie doniosły o gwałtownych rozruchach i wystąpieniu wojsk w różnych miastach Węgier, moglibyśmy szczerze naśmiać się z takich różowych okularów. Antisemityzm, od czasu i gdzie tylko połączył się z nurtem socyalistycznym—a to połączenie nastąpiło prawie wszędzie — będzie wraz z nim płynął i rozlewał się coraz szerzej, dopóki go stawidła w zmienionych odpowiednio stosunkach społecznych nie zatrzymają. Socyalizm chwali się, że on jeden rozwiązał kwestyę żydowską — nic też dziwnego, że na jego wóz wsiedli antisemici i że — chociaż często pod zmienionym tytułem — posługują się jego bronią. Dziś miejsce okrzyku: na niewiernych! zajęło hasło: na wyzyskiwaczów! To nie prosta restauracya fanatyzmu wieków średnich, ale ich sojusz z nowymi.

Od dawna i stale wskazujemy na ten społeczny dopływ nienawiści przeciw żydom, chociaż większość naszych publicystów, naśladujących Temidę tem tylko, że sądzą z zawiązanemi oczyma, uważa je za choroby miejscowe i przechodnie. Nie przeczymy, że ten i ów szczuje izraelitów za nosy, chałaty lub lichwiarstwo, trzymając się zdala od sztandarów socyalistycznych; ale gdy jakiś silny prąd w życie ludzkości wpłynie, porywa on z sobą nietylko tych, którzy świadomie z nim dążą, ale i tych, którzy nie uświadamiając sobie kierunku, jego sile porywać się dają.

DWIE MIARY I DWIE WAGI.

Jeden z publicystów rosyjskich, porównywając t. z. „narodniczestwo" z pokrewnym mu kierunkiem demokratycznym w piśmiennictwie polskiem, przyznaje ostatniemu wyższość pod względem praktycznego zastosowania teoryi do życia. Autor twierdzi, że zbliżenie się do ludu postawiono w naszem społeczeństwie na bardziej racyonalnych podstawach, bo na gruncie interesów ekonomicznych, i podnosi usiłowania naszej inteligencyi, mające na celu jaknajszersze krzewienie oświaty. Szczególniej zaś zwraca uwagę na to, że najznakomitsi pisarze polscy nie uważają za poniżenie swego talentu pracować dla ludu. Pomijając na ten raz ocenę socyologicznych doświadczeń w duchu wspólności interesów dworu i chaty, możemy przyjąć i drugą połowę przytoczonego zdania jedynie z dobrodziejstwem inwentarza. Pochwały bowiem dla naszej inteligencyi (nie zawsze zresztą zgodne z prawdą) nie przesądzają wcale wartości jej ofiary. Niewątpliwie zrozumiano ważność i potrzebę oświecenia wsi, ale czy zrozumienie to idzie w parze z odpowiedniem działaniem? Rzeczywiście nasze piśmiennictwo ludowe wzrasta ilościowo, ale nie jakościowo, co dowodzi z jednej strony popytu a z drugiej, co najwyżej, tylko dobrych chęci, pragnących zaspokoić żądania; smutnie jednak świadczy o uzdolnieniach. Każdy nieuprzedzony krytyk zauważyć musi w naszem piśmiennictwie ludowem brak zupełny sił odpowiednich. Rekrutują się one z najrozmaitszych żywiołów. Rzadko kto zna lud a jeszcze rzadziej umie dlań pisać. W pierwszym szeregu stoją jednostki posiadające rzetelną znajomość warunków życia wiejskiego, ale bądź nie odświeżają wcale zapasu swych wiadomości nowemi spostrzeżeniami, bądź też psują dobrowolnie swoje utwory tendencyą, naciągniętą do specyalnie szlacheckich celów. Dalej idzie nieliczny zastęp autorów, odznaczonych zaszczytnie w innych gałęziach literatury, którzy w chwili wolnej od zajęć zapragnęli również uczynić coś dla „młodszej braci," wszakże, oprócz najlepszych zamiarów, nic więcej nie są w stanie dać, bo nie znają owych „braci" wcale lub bardzo mało a długoletnia rutyna w innym kierunku stoi usiłowaniom ich na przeszkodzie. Trzecią wreszcie kategoryę stanowią różnego rodzaju niedobitki, miernoty, nieudani poeci, wybrakowani reporterzy. wygwizdani komedyopisarze itp. odpadki literatury, którzy, szczególnie w ostatnich czasach, tłumnie rzucili się do pisania dla ludu, znając najczęściej chłopa tylko w jego wilanowskiej lub czerniakowskiej odmianie na targu za Żelazną bramą. Wszyscy ci wielcy i mali, powołani, uczciwi, spekulanci, nawet mniej lub więcej radykalni demokraci, nie mogli dotąd otrząsnąć się z pewnej, mimowiednej nieraz, szlacheckiej pogardy dla chłopa. Przemawiają więc doń zawsze z mównicy lub ambony i nawet w zwyczajnej pogadance nie umieją uniknąć moralizatorskiego tonu. Ta skłonność do nauczania, do narzucania swoich rad i uwag, w połączeniu z oschłem gadulstwem o rzeczach potrzebnych i niepotrzebnych, stanowi główną wadę utworów, przeznaczonych dla ludu. Dodać do tego należy jeszcze oburzającą niedbałość i niechlujność języka oraz niedołęstwo myśli—bo przecież darowanemu łaskawie koniowi chłop w zęby zaglądać nie będzie, a choćby zajrzał — na nich się nie pozna. W pojęciu naszej inteligencyi — to nie człowiek z krwi i kości, stojący tylko na innym od nas stopniu umysłowego rozwoju, ale jakieś dziwne stworzenie osobnego rodzaju — na pół zwierzę a na pół dziecię. Nasza mowa, nie jest jego mową, nasza prawda — jego prawdą, nasza wiedza — jego wiedzą. Ludzie, skąd inąd szczerzy i uczciwi, nie wahają się świadomie podawać mu fałszu za prawdę, krzewić pojęć przestarzałych i zużytych. koszlawić moralności, obrzynać lub przykrawać wiedzy. Wytworzoną w ten sposób chłopską filozofię pokrywają pokostem prawomyślności religijnej, i w takiej dopiero formie dają do spożycia. Dla łatwiejszego zaś strawienia tego preparatu owijają go w bawełnę pustych frazesów, rozmiękczają w ciepłej wodzie niepotrzebnego gawędziarstwa, jak

---

U WÓD

z dziennika margrabiego de Roseveyre

przepisał

Guy de Maupassant.

12 czerwca 1880. — Do Leuk! Wysyłają mię na miesiąc do wód w Leuk. Okropność! Cały miesiąc w tem najsmutniejszem, najwięcej osamotnionem, najnudniejszem z miejsc kąpielowych. Co mówię „miejsc!" Dziura to, nawet nie wieś. Skazano mię na miesiąc do galer!

13 czerwca. Całą noc mimowoli myślałem o tej strasznej podróży! Jedno mi tylko zostaje: zabrać z sobą kobietę; to mię może rozerwie. A potem przekonam się przy tej sposobności, czy już dojrzałem do małżeństwa. Miesiąc obcowania, miesiąc wspólnego pożycia, prawdziwego życia we dwoje, gawędzenia o każdej porze dnia i nocy — do kaduka! Wziąść żonę na miesiąc—to ostatecznie nie tak źle, jak ją związać ze sobą na życie całe; poważniejsze to przecież o wiele, aniżeli zyskać sobie względy na wieczór jeden. Wiem wprawdzie, że za kilkaset luidorów opuści mię bez wahania, ale wtedy znów sam bym pozostał w Leuk, co wcale niewesołe. Trudny wybór. Nie chcę ani kokietki, ani gąski. Nie chcę dla niej narazić się na śmieszność, ani też za nią się wstydzić. Chcę, żeby mówiono: „Margrabia de Roseveyre jest w dobrem towarzystwie," ale nie chcę, żeby szeptano sobie: „Biedny margrabia de Roseveyre!" Słowem, od mojej czasowej towarzyszki wymagam tych samych przymiotów. jakichbym żądał od istotnej małżonki. Jedyna naturalnie różnica zachodzi ta, co między towarem z pierwszej ręki i z drugiej. A więc, znajdzie się coś. Poszukam!

14 czerwca. Berta! To mój gust! Ma lat dwadzieścia, ładna, dopiero skończyła konserwatoryum, czeka zaangażowania, przyszła gwiazda! Ma maniery, pewność siebie, spryt i — miłość. Możnaby sądzić prawie, że z pierwszej pochodzi ręki.

15 czerwca. Jest wolna, nie ma zobowiązań interesowych, ani sercowych, zgadza się. Sam jej zamówiłem kilka sukien, ażeby wyglądała przyzwoicie.

20 czerwca. Bazylea! Śpi! Mogę rozpocząć moje notatki z podróży. Prawdziwie jest zachwycającą. Kiedyśmy się zeszli na dworcu, ledwo ją poznałem, tak umiała sobie nadać pozór damy. Dziewczę to bezwarunkowo ma przyszłość — na scenie. Wszystko zdawało mi się zmienionem, jej zachowanie się, chód, postawa, ruchy, uśmiech, głos, wszystko! Słowem, nic nie było do zganienia. A uczesana! Cudownie! Tak prześliczna i skromna, jak kobieta, która nie pragnie już zwracać wszystkich oczu na siebie, nie pragnie podobać się wszystkim, nie stara zaćmić odrazu, lecz chce być piękną tylko dla jednego. Chęć ta przebijała się w całej jej istocie. Rys to był tak delikatny a wiele mówiący. przemiana ta zdawała mi się tak głęboką i rozumną, że ofiarowałem jej ramię, tak, jak bym to uczynił względem mej żony. Przyjęła je z taką niewymuszonością, jakby na prawdę była moją żoną. Kiedyśmy w wagonie siedzieli naprzeciwko siebie, początkowo milczeliśmy oboje. Potem podniosła woalkę i uśmiechnęła się — nic więcej. Uśmiech pełen wdzięku i godności. Prawdziwie obawiałem się pocałunku i całej owej komedyi czułości, należącej do zwykłych, banalnych fortelików, jakimi szafują ladacznice. Ale nie — umiała się opanować. Potem gawędziliśmy, prawie jak młoda para, i znowu jak obcy. Piękne to było. Patrząc na mnie, uśmiechała się często. Wreszcie chętnie bym ją pocałował. Ale i ja umiałem się powstrzymywać.

Na granicy urzędnik w mundurze nagle otworzył drzwi wagonu i spytał:

— Nazwisko pańskie?

Zmieszany odpowiedziałem:

— Margrabia de Roseveyre.

— Dokąd pan jedzie?

— Do wód w Leuk, w kantonie Wallis.

Zapisał sobie moją odpowiedź i spytał w dalszym ciągu:

— A ta pani, małżonka pańska?

Cóż miałem zrobić, co odpowiedzieć? Ociągając się, podniosłem ku niej oczy. Zbladła i spoglądała w dal. Czułem, jak bez

gdyby zdrowy rozum nie był zdolnym do przyjęcia posilnego pokarmu prawdziwej umiejętności, a potrzebował jakichś sztucznych specyfików. Dla starszych członków rodziny biedny „młodszy brat,“ pomimo dojścia do obywatelskiej pełnoletności, pozostaje zawsze dzieckiem. Do tego upośledzonego kopciuszka przemawia się innym językiem, komponuje oddzielną logikę, zakrywa starannie przed nim prawdy, które go zbałamucić mogą — bo to jeszcze nierozważny, ba — „głupi Janek“ z bajki!

Ale, jak dobrze powiada wydawca świeżo puszczonej książki Supińskiego*): „lud jest to albo mąż, który wyrokuje już o sprawach publicznych i rzuca głos swój wraz z najoświeceńszym na szalę wymiaru praw obywatelskich, albo jest to pacholę, dla którego szkółka wiejska pozostanie szkołą główną, wszechnicą.“ Po zrzuceniu jarzma pańszczyzny, po zrównaniu w prawach z innemi klasami, wolny obywatel kraju tak pod względem moralnym, jak i w stosunkach codziennego życia znalazł się w niemałym kłopocie. Wyrobione za poprzednich czasów zasady „przystosowywania się“ do istniejących warunków nie wystarczają dzisiaj. Lud nasz potrzebuje przedewszystkiem przyjść do samowiedzy, do świadomej oceny swego położenia. Dawniej nie myślał prawie o tem, nie potrzebował, nie mógł zastanowić się nad swym stosunkiem do otoczenia, bo kierowała nim cudza myśl, zachcianka, no, czasem i kaprys. Cała praca jego myśli zużywała się na wynalezienie sposobów możliwego zabezpieczenia swego bytu od pańskich wymagań lub na objaśnienie zjawisk świata wewnętrznego, w tej bowiem sferze pozostał poniekąd samodzielnym, gdyż nawet ksiądz nie bardzo zaglądał w głąb chłopskiej duszy. Ale ze zmianą położenia wystąpiły nowe potrzeby.

Członek gminy, wyborca, nieraz urzędnik, wreszcie samodzielny gospodarz, pragnie włościanin oświaty, bo chce zrozumieć swe prawa i obowiązki, zasięgnąć niezbędnych mu wiadomości. Wyrobione poprzednio poglądy moralne w dzisiejszym stanie rzeczy również zadowolić go nie zdołają, więc i w tym względzie potrzebuje wskazówek i pozytywnych danych, na których mógłby się oprzeć i wysnuć nowe zasady etyczne — ale nie rad narzucanych z góry, ale nie przepisów, krępujących jego moralną samodzielność.

Wspomniane dziełko Supińskiego, przeznaczone dla ludu, wybornie stwierdza prawdę tych ogólnych uwag. Autor, bądź co bądź znany zaszczytnie w naszej literaturze, z którego poglądami można się nie godzić, ale samodzielności umysłowej odmówić mu niepodobna, w popularnej pracy swojej nie umiał wznieść się po nad zwykłą rutynę.

Wady wspólne wszystkim naszym pisarzom ludowym w pogadance Supińskiego występują nawet jaskrawiej, rysują się wyraźniej, do czego przyczynia się zapewne ta okoliczność, że jest to utwór człowieka starego, napisany przezeń już na schyłku działalności literackiej.

Supiński kilkakrotnie kładzie nacisk na naukę myślenia: „Kto chodzi do szkoły, ten się uczy myśleć — człowiek nieumiejący myśleć nie jest jeszcze człowiekiem zupełnym.“ „Kto się uczy myśleć, ten się uczy odróżniać prawdę od błędów itp.“ Ze zdaniem tem zgadzamy się zupełnie, ale właśnie pogadanki jego są rażącem gwałceniem przytoczonej zasady. Oto kilka przykładów. Chcąc dowieść, że nadużycie siły jest szkodliwem, postępuje tak. Objaśnia czytelnika, że na południo-wschodzie od nas leży Turcya, dalej morze a za niem Arabia. Dalej opisuje płody tego kraju i prawi przeciw paleniu tytoniu, które przed 400 (?) laty wprowadzono do Europy a arabowie znacznie dawniej go używali (?!). Krótka wzmianka o koniach i pszczołach poprzedza opis pustyni i mieszkańca jej — wielbłąda. Wszystko to było potrzebne dla wytłomaczenia, że wielbłąd, obciążony ładunkiem, iść nie chce, bo umie mierzyć swą siłę!

Nietylko chłop, nieprzyzwyczajony do natężania uwagi, ale nawet inteligentny czytelnik zabłąkać się może w tej dziwnej podróży do Arabii, podróży zresztą niepotrzebnej, bo o kilka wierszy niżej autor daje przykład z naszego życia. Mówiąc o prawidłowości i przyczynowości zjawisk przyrody, wspomina o odlocie bocianów i zaraz skręca z prostej drogi, przytaczając, kłamliwą zresztą, anegdotkę o bocianie, który z tabliczką na szyi poleciał z Polski do Indyi a stamtąd wrócił z odpowiedzią.

W innem miejscu znowu, gdzie traktuje o podziale pracy i jako przykład stawia fabrykę kart, zbacza od przedmiotu i zaczyna mówić szczegółowo, kiedy i dla kogo wynalezione zostały, i o szkodliwym wpływie gry. Wątpimy, czy na takich wzorach, nauczy się chłopskie dziecko porządnie myśleć; wprawdzie gawędziarze nasi utrzymują, że w zamian za to otrzyma pewien zasób wiadomości, ale w danym wypadku nawet usprawiedliwienie to nie wytrzymuje krytyki, bo na co chłopu przyda się (niedokładny zresztą) opis Arabii, anegdotka o bocianie lub wiadomości, że karty wynaleziono dla rozrywki chorego umysłowo Karola VI? Niepotrzebnemi również są szczegółowe informacye o Madagaskarze, o Beniowskim, o wyspie zaludnionej przez rozbitków hiszpańskich i t. p. Jeżeli chodziło już o dostarczenie czytelnikom jak najwięcej wiadomości, to czyż nie właściwiej wspomnieć było o tem, że Kolumb odkrył Amerykę a Gutenberg wynalazł druk (autor mówi o obu faktach), aniżeli przytaczać nazwisko fabrykanta guzików we Francyi, niejakiego Bapterostes, który tylko tem się odznaczył, że w zakładzie jego każdy guzik przechodzi przez 17 rąk.

Taki jest sposób wykładu, przejdźmy teraz do treści dziełka.

Nie wdajemy się w krytykę wartości ekonomicznych teoryj autora, idzie nam tylko o to, że tłomaczenie takich pojęć, jak np. znaczenie monety i jej obiegu — jest zupełnie zbytecznem, bo pozostanie niezrozumiałem. Najlepszym może ze wszystkiego jest rozdział o rządzie, stosujący się głównie do Galicyi, chociaż trudno zgodzić się na jego wniosek, że chłopi powinni wybierać na posłów tylko przedstawicieli klas wyższych, jak trudno również przyjąć za prawdę twierdzenie, że w parlamentach Francyi i innych państw nie zasiadali i nie zasiadają wieśniacy lub robotnicy. Religijne objaśnienie faktów gra niemałą rolę: „Wszystko na świecie istnieje ku potrzebie człowieka,“ podział pracy jest „skutkiem prawa bożego, które chce, aby jedni byli użyteczni innym“ — a wcale nie ułatwieniem roboty, wynalazki

*) *Siedem wieczorów.* Pogadanki o rzeczach pożytecznych.

---

celu żadnego chciałem ubliżyć jej. Wszakże wybrałem ją sobie za towarzyszkę, choćby na miesiąc tylko. Odpowiedziałem krótko:

— Tak.

Spostrzegłem, jak nagle się zarumieniła; szczęśliwy byłem z tego powodu. Skorośmy stanęli w hotelu, gospodarz znów przyszedł do nas z książką meldunkową. Podała mi ją i łatwo zauważyłem, jak bacznie śledziła mnie, gdym się wpisywał. Był to pierwszy wieczór wspólnego naszego mieszkania! Któż tam czyta raz odwróconą kartę książki meldunkowej! Zapisałem więc: „Margrabia de Roseveyre z żoną, w podróży do wód w Leuk.“

21 czerwca. Szósta rano. Bazylea. Jedziemy do Bern. Stanowczo szczęśliwą miałem rękę.

21 czerwca. Dziesiąta wieczór. Szczególny dzień! Trochę jestem podniecony. Głupie to, a jednak prześliczne. W drodze mało mówiliśmy z sobą. Wstała nieco zawcześnie, była zmęczoną i zdrzemnęła się. Przybywszy do Bernu, zamierzyliśmy bezwłocznie podziwiać Alpy, których nie znałem jeszcze i dlatego podjęliśmy wycieczkę, jak młodzi małżonkowie. Nagle uderzyła oko nasze płaszczyzna niezmierzona a po za nią daleko — lodowce. Z takiej odległości widziane wydawały się wcale nie tak ogromne, na ich widok przecież dreszcz mię przebiegł po całem ciele. Padł na nas promień zachodzącego słońca; skwar stał się nie do zniesienia. Lodowce wszakże pozostały zimne i błyszczące. Berta, cała w myślach zatopiona, nie mówiąc ani słowa, spoglądała na ten obraz potężny. Odrazu schwyciła mię za rękę i uścisnęła ją. Ja sam poczułem w duszy ową dziwną gorączkę, owo wzburzenie, jakiego doznajemy nieraz wskutek wrażeń niespodziewanych. Ująłem dłoń tę małą i drżącą, poniosłem do ust i ucałowałem szczerze, pełen miłości. Potem byłem trochę zmieszany. Ale czem? Czy z jej powodu, czy z powodu lodowców?

24 czerwca. Kąpiele Leuk, godzina 10 wieczorem. Podróż cała była zachwycającą. Pół dnia zatrzymaliśmy się w Thun i obejrzeliśmy ogromny łańcuch gór, na które mieliśmy wstąpić nazajutrz. O wschodzie słońca przeprawiliśmy się przez jezioro, które może najpiękniejszem jest w całej Szwajcaryi. Muły czekały na nas. Dosiedliśmy ich i odjechali. W jednem z małych miasteczek zjedliśmy śniadanie, poczem w dalszą udaliśmy się drogę, która coraz stawała się cięższą, prowadząc przez stopniowo wznoszącą się gęstwinę leśną. Od czasu do czasu na urwiskach, niby z nieba spadłych, widzieliśmy skały, które Bóg wie, jak się tam dostały. Przesadzaliśmy strumienie górskie i kiedy niekiedy, pomiędzy dwoma sosną pokrytymi gór wierzchołkami widzieliśmy przeglądającą olbrzymią piramidę śniegową, która zdawała się tak bliską, że możnaby ją było dosięgnąć w ciągu dwudziestu minut, a która w rzeczywistości zaledwie po dwudziestu czterech godzinach była dostępną. Nieraz śród chaosu kamieni przeciągaliśmy przez wąskie ścieżyny, które zalegały skał odłamy, tak, jakby w tem miejscu dwie góry rzuciły się z sobą w zapasy i szczątki granitowych kości swoich pozostawiły na pobojowisku. Berta, na ośle swym siedząc, opadła znużona i rzadko tylko otwierała oczy, żeby rozejrzeć się wokoło. Zaczęła nakoniec zasypiać, a ja podpierałem ją ręką swoją, szczęśliwy z dotknięcia tego, które przez suknię pozwalało mi czuć łagodne ciepło jej ciała. Noc zapadła a my wznosiliśmy się coraz wyżej i wyżej. Zatrzymaliśmy się wreszcie pode drzwiami małej, pomiędzy górami ukrytej gospody. Potem spaliśmy, o, jak spaliśmy rozkosznie! Gdy się rozwidniło, pobiegłem do okna i wydałem okrzyk zdziwienia. Berta zbliżyła się do mnie i również stanęła zdumiona i zachwycona. Spaliśmy wśród śniegu. W godzinę potem znów byliśmy w drodze. Niespodzianie droga, którą jechaliśmy, skończyła się u skraju przepaści, a w dole, na dnie czarnej otchłani, mającej ze dwa tysiące metrów głębokości, zamkniętej czterema stromemi, ciemnemi, dziko poszarpanemi ścianami skał, na kobiercu zielonym spostrzegliśmy kilka białych punktów, które w pierwszej chwili wzięliśmy za owce pasące się na łące. Były to domy w Leuk. Musieliśmy zsiąść z osłów, droga stawała się niebezpieczną. Wężykowato kręcącą się ścieżynę, po której szliśmy odtąd, nazywają *gemmi;* najpiękniejszy to pas alpejski. Berta opierała się o mnie, wykrzykując już z radości, już z przestra-

zaś nie są wynikiem rozwoju myśli ludzkiej, lecz owocem natchnienia bożego.

O błędach naukowych rozpisywać się nie będę, przyrodnik znalazłby sporą ich wiązkę (chociażby np. przytoczoną wyżej wiadomość o tytoniu). Supiński nie posiadał nigdy gruntownej znajomości nauk przyrodzonych, brak ten jest może najsłabszą stroną jego teoryj ekonomicznych. Rozbierane przez nas dziełko zawiera kilka smutnych ilustracyj tego faktu. Czytelnik dowie się z niego, „że gdy księżyc idzie od nowiu do pełni, wszystko rośnie w górę, gdy zaś idzie od pełni do nowiu—wszystko rozrasta się w dół.“ „Dzieciom, które chorują na robactwo, daje się cytwar przed nowiem, bo robactwo schodzi w dół.“ Taką historyę naturalną ledwie wąziutka miedza odgranicza od zabobonu.

Wspomniałem już, że dla ludu istnieje oddzielna prawda. Stworzenie jej nie było dla nas zbyt trudnem, wprawiliśmy się bowiem poprzednio w fabrykowanie specyalnie polskiej historyi powszechnej, polskiej filozofii, polskiej moralności (w ostatnich czasach pomyślano nawet o polskiej teologii), dalsze więc objawy twórczości tego rodzaju miały już utorowaną drogę. W najlepszej myśli rozbudzenia patryotycznych uczuć w ludzie, autorowie nasi starają się mu przedstawić przeszłość w najbardziej różowym kolorze.

Nie uniknął tego błędu i Supiński. Dowiadujemy się więc, że „u nas chłopi za dawnych czasów byli tak zamożnymi, jakich dziś nie widzimy,“ „nosili złotem ozdobione pasy a żony ich czepce i spódnice jedwabne,“ „mieli konie jak pańskie i domostwa schludne, że nietylko panowie, ale i królowie nie wstydzili się wstępować do nich,“ a wszystko to pochodziło stąd, „że wieśniacy ówcześni wiedli życie bogobojne i pracowite, żyli z dworem w zgodzie, jak jedna rodzina i nie rośli w prostactwie, jak zwierzęta, bo każdy przeszedł był szkółkę.“ gdyż „za dawnych polskich czasów w każdej parafii była szkółka.“ Co za rozrzewniająca sielanka, zwłaszcza, iż panowie polscy byli tak uczeni, że cudzoziemcy „wydziwić się nie mogli, skąd w Polsce biorą się tak mądrzy ludzie“ (!). Okrucieństwa i zbytki działy się w innych krajach, ale nie u nas. Bezkarne gwałcenie chłopek, zabójstwa chłopów, za które groziła tylko grzywna pieniężna, katowanie batogami poddanych, nawet nieokreślona pańszczyzna istniały we Francyi i Niemczech, ale nie u nas. Nawet ów monarcha, co miał kilka tysięcy (przesada) kochanek, nazywał się nie August II, król polski, lecz Fryderyk, król (?!) saski.

Gdyby jeszcze ta sztuczna łatanina przydała się na co. Ale autor, zrobiwszy ustępstwo błędnym poglądom w tej kwestyi, jest zanadto uczciwym, żeby świadomie przeinaczał i nakręcał swe zdanie w innych wypadkach. Zaraz więc w następnym rozdziale rozpisuje się szeroko o fałszywości zdania, jakoby w dawnych czasach działo się lepiej; owszem utrzymuje, że wszystko postępuje naprzód i że „waszym ojcom jest lepiej, niż było waszym dziadom.“ (Książka jest przeznaczona dla młodzieży włościańskiej). Sam więc daje świadectwo prawdzie i obala sztuczną budowę swoich historycznych dowodów.

Rozpisaliśmy się tak szeroko o dziełku Supińskiego dlatego głównie, żeby wykazać, jak brak pojmowania zadań piśmiennictwa ludowego sprowadza na manowce nawet ludzi, którym ani szlachetnych chęci, ani umysłowych zdolności zaprzeczyć niepodobna. Z drugiej zaś strony zaprotestować chcieliśmy przeciw przyjacielskiej i dziennikarskiej reklamie, wynoszącej pod niebiosa rzecz w pomyśle chybioną, a wykonaną, co najmniej, nader słabo, która autorowi wcale sławy nie przysporzy, piśmiennictwa nie wzbogaca a ludowi szkodę tylko i krzywdę wyrządzić może.

J. L. P.

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC.

(Wspomnienie pośmiertne).

Literaturze naszej ubył świeżo pracownik zdolny i użyteczny, czasami nawet natchniony, który zebrał obfite żniwo zasług w pracy dla ludu i zyskał tę popularność, jaką zawsze daje pisarzom zespolenie się z żywotnemi zagadnieniami chwili. Anczyc pochodzi z tego zakątka ziemi, który wydał tylu najprzedniejszych mocarzy polskiego Parnasu. Urodzony w Wilnie 1824 r. syn aktora, porzucił aptekarstwo dla literatury i prowadził przez pewien czas tułacze życie, jako sekretarz jednego z towarzystw dramatycznych. Poraz pierwszy w r. 1850 wystąpił jako pisarz sceniczny, zyskując odrazu bezprzykładne powodzenie. Od 1854 roku przeniósł się do Warszawy i pełnił obowiązki sekretarza, przy *Gazecie Codziennej*; redagował z wielkiem powodzeniem czasopismo ludowe *Kmiotek* w latach 1861 — 1866, poczem osiadł w podwawelskim grodzie, godząc zajęcia księgarskie z pracami literackiemi, dopóki ciężka choroba serca nie powaliła go na śmiertelne łoże.

Rzucając okiem na różnostronność Anczyca, znajdziemy wszędzie niemal dowody pewnego talentu, bystrości i umiejętnego odczucia potrzeb sfery, dla której pracował. Jako publicysta ludowy, może się poszczycić istotnem powodzeniem, chociaż wobec najświeższych prądów działalność jego nosi na sobie piętno epoki zamkniętej bezpowrotnie. Społeczna tendencya *Kmiotka* za jego redakcyi polegała na łagodzeniu waśni pomiędzy chatą i dworem, zrazu na podstawach patryarchalnego stosunku zależności, potem na gruncie sąsiedzkiej zgody. W swoim czasie Anczyc był bardzo wystarczającym i zdolnym przewodnikiem prostaczków, a jakkolwiek obracał się w kółku etyki, odpowiedniej czasom przejściowym, umiał jednak przemawiać żywo do umysłu i serca kmieci, a co ważniejsza—obudzić nawet w dworach naszych żywe zainteresowanie się sprawami dobrobytu i oświaty ludowej. Walczył, jak mógł, z pijaństwem i próżniactwem braci włościańskiej, zachęcał do rozwoju pracy przemysłowej na gruncie wiejskim, popularyzował wiadomości przyrodnicze i dziejowe, starając się o podniesienie prawdziwie obywatelskiego ducha śród chatek wioskowych. Ozdobą *Kmiotka* były jego pogawędki i powiastki, które pisał pod pseudonymem Kazimierza Goralczyka, okazując dziwną umiejętność dostrojenia się do umysłowego poziomu natur prostaczych. Potrafił moralizować, nie będąc nudnym, strzegł się jałowego kaznodziejstwa, przemawiał obrazowo i zabarwiał swoje prace

---

chu, szczęśliwa i trwożna, jak dziecię. Gdyśmy na kilka kroków od przewodników naszych byli oddaleni i zakryci przed ich wzrokiem jedną ze skał wystających—pocałowała mnie. Uściskałem ją. Do siebie samego zaś powiedziałem: „W Leuk będę musiał przedstawiać ją jako żonę moją. Wszędzie prezentowałem ją jako taką, wszędzie mówiłem, że jest margrabiną de Roseveyre. Teraz więc niewolno mi było za nic w świecie pod innem zapisywać ją imieniem. Byłbym ją tem niewątpliwie zranił do głębi serca, a była przecie tak czarującą. Rzekłem tedy do niej:

— Kochana przyjaciółko, nosisz teraz moje nazwisko, mają mnie za twego męża; spodziewam się, że względem świata całego będziesz zachowywać się z wielką roztropnością i szczególną dyskrecyą. Żadnych znajomości, żadnych gawęd, żadnych stosunków. Niech cię mają za dumną, ale ty zawsze postępuj tak, żebym nigdy nie miał potrzeby żałować, com uczynił.

Odpowiedziała:

— Bądź spokojny, mój mały.

26 czerwca. Leuk wcale nie tak smutne. Nie dzikie, ale piękne bardzo. Może — gdyby Berty nie było! Doskonałe to dziecko, dystyngowana i skromna, jak tylko być można. Bez ustanku słyszę mówiących: „Jak też czarującą jest ta mała margrabina!“

27 czerwca. Pierwsza kąpiel. Wprost z pokoju wejście do basenu kąpielowego, gdzie poci się dwudziestu kuracyuszów, wszyscy odziani w długie szaty wełniane, mężczyźni i kobiety razem. Jedni jedzą, inni czytają, a znów inni gawędzą. Przed sobą mają małe pływające stoliki. Berta usiadła na galeryi, żeby trochę porozmawiać ze mną. Podobała się bardzo.

28 czerwca. Druga kąpiel. Byłem cztery godziny w wodzie. Za ośm dni dojdę do ośmiu godzin. Towarzyszami kąpielowymi moimi są: książę Vanoris (z Włoch), hrabia Loewenberg (z Austryi), baron Samuel Vernhe (z Węgier, czy skądś) i około piętnastu mniej znakomitych, ale bez wyjątku ludzi należących do arystokracyi. U wód przecie każdy zalicza się do świata arystokratycznego. Jeden po drugim prosili mnie, żebym ich przedstawił Bercie. Zawsze się zgadzam i — znikam. Uważają mię za zazdrosnego. To zbyt niedorzeczne...

29 czerwca. Do kroćset! Księżna Vanoris sama przyszła do nas, żeby zabrać znajomość z moją żoną, właśnie w chwili, gdyśmy wrócili do hotelu. Przedstawiłem Bertę, ale prosiłem ją, żeby starannie unikała wszelkiego nowego spotkania się z tą damą.

2 lipca. Książę wczoraj gwałtem zaprowadził nas do mieszkania swojego, gdzie bywają na herbacie wszyscy kuracyusze z „towarzystwa.“ Berta niewątpliwie lepszą była, niż wszystkie te panie, ale cóż począć?

3 lipca. Więc cóż wielkiego? Przecież z pomiędzy tych trzydziestu szlachty co najmniej dziesięciu sami sobie szlachectwo wynaleźli! Z pomiędzy tych szesnastu lub siedmnastu kobiet tuzin najwyżej naprawdę jest zamężnych, a ośm zaledwie takich, których imię jest bez skazy! Tem ci gorzej dla tych pań, tem gorzej dla tych mężczyzn. Boć tego chcieli!

10 lipca. Berta jest królową w Leuk. Wszyscy powaryowali dla niej. Sprawiają jej owacye, pochlebiają jej, uwielbiają. Zresztą naprawdę zachwycającą jest wdziękiem swoim i wyniosłością. Zazdroszczą mi.

Księżna Vanoris spytała mię:

— Powiedz kochany margrabio, gdzieżeś wynalazł ten skarb?

Miałem wielką chęć odpowiedzieć, „Pierwsza nagroda w konserwatoryum: klasa dramatyczna, zaangażowana do Odeonu, wolna od 5 sierpnia 1880!“ Co za minę zrobiłaby biedaczka?

20 lipca. Berta w samej rzeczy jest czarującą. Nie popełnia żadnego błędu taktycznego, żadnego *faux pas*. To istotnie dziwne.

---

10 sierpnia. Paryż. Skończyło się. Ciężko mi na sercu. Wieczorem przed naszym wyjazdem zdawało mi się, że cały świat wybuchnie płaczem. Postanowiliśmy oczekiwać wschodu słońca na jednej z wież i zejść z niej na godzinę przed udaniem się w dro-

urokiem pociągającego humoru. Jego powiastki nie grzeszą nadmiarem tkliwej frazeologii. Parobcy i dziewuchy mówią tam rubasznie, poprostu, nie bawiąc się w porównania *à la* Słowacki, co nie jest bynajmniej rzadkiem zjawiskiem u innych pisarzów ludowych—dobrej woli, ale nieskończenie mniejszego talentu.

Jako malarz życia ludowego, Anczyc był o tyle barwnym i oryginalnym, o ile nim być może obserwator, patrzący na chatę z okien szlacheckiego dworu. Nie wzrósł wśród ludu, nie sięgnął do najgłębszej logiki jego usposobień, ale w każdym razie umiał podchwycić wiele oryginalnych rysów, wiele żywych, drgających ruchem postaci. W pierwszym swym obrazku *Chłopi arystokraci* wyśmiał zgrabnie wioskową plutokracyę, która się pyszniła wobec nieszczęsnych braci, w *Łobzowianach* chłostał satyrą pieniactwo ludu i łatwowierność, z jaką daje się on wyzyskiwać ostatnim wyrzutkom inteligencyi. Dzielnie i żwawo kreślone w tych sztukach figury urlopnika, pokątnego doradzcy, wesołej kumoszki i butnego parobczaka do dziś nie straciły nic na charakterystycznej barwności. Wprawdzie występuje w tych sztukach nieuchronna postać opatrznościowego dziedzica, który prawi namaszczone morały i udziela błogosławieństwa, wprawdzie liryzm sielski trąci czasami sentymentalnością a nagie nici kazań zbyt na wierzch wychodzą w scenicznej robocie, jednakże usterki te są nieodłączne od pojęcia moralno-pedagogicznej roli, jaką do niedawna przeznaczano utworom ludowym na scenie. Mniej szczęśliwym był za to autor we *Flisakach*, pełnych nadmiernego i ckliwego pietyzmu albo w *Błażku opętanym*, opartym na niemożliwie naciągniętych sytuacyach.

Najpopularniejszem jednak dziełem scenicznem Anczyca w tym rodzaju jest *Emigracya Chłopska*, wielki dramat ludowy, nagrodzony na konkursie krakowskim, grany z bezprzykładnem powodzeniem na wszystkich scenach polskich. Anczyc napiętnował tu nieobywatelskie zabiegi żydów galicyjskich, którzy łącznie z niemieckimi agentami tumanią biedny lud i skłaniają go do porzucania rodzinnych siedzib, aby za morzami szukać wątpliwego losu. Społeczna tendencya dramatu występuje tu w formie przestróg dla ludu, aby nie zapierał się miłości rodzinnego gniazda, gdyż na obcej ziemi znajdzie tylko ludzi bez serca i walkę z wrogim sobie żywiołem.

Dążność ta kazała autorowi skreślić kilka scen z życia amerykańskiego w sposób fantazyjny i pamfletowy, przypominający nieco wuja Sama, którego autor, chłoszcząc amerykanów, czerpał satyryczną werwę z bonapartystowskiej szkatuły. Najcelniejszą stroną *Emigracyi* jest przepyszna, lubo wyłącznie ujemna charakterystyka postaci żydowskich, wybornie skreślony obraz licytacyi a nadewszystko pełna głębokiej poezyi i zdrową religijnością przeniknięta scena spożywania uczty wigilijnej przez chłopków naszych, osiadłych w amerykańskiej kolonii. Główną postać ujemną dramatu autor zapożyczył z Mosenthal'a *Sobkowej Zagrody* (*Sonnererwandhof*), która zresztą jest poprzedniczką artystyczną wszystkich naszych ludowych dramatów, ale przewyższył znakomicie autora niemieckiego bogactwem treści, oryginalnością pomysłów i świetnem wyzyskaniem efektów scenicznych, które to zalety czynią *Emigracyę* utworem w swoim rodzaju niepospolitym.

Wszystkie jego dramatyczne prace ludowe zawierają dobrą chęć inteligencyi względem ludu, a więc bezpośrednio nie osiągają swego celu, gdyż lud wiejski do teatru nie chodzi i nie jest tyle rozwiniętym, aby go zrozumiał. Niezależnie od tego zastąpiły one w repertuarze naszym dawne sztuki kontuszowe i miały wielką wartość, jako utwory wpływające na uczucia wiejskie, zwracając uwagę mieszczaństwa na życie i potrzeby wieśniacze, działające wreszcie na wyobraźnię silnie a dodatnio. Dzisiaj za sprawą p. Galasiewicza dramat ludowy wszedł na inne tory i przemawia do inteligencyi w imię potrzeb i uczuć ludu, a lekkie postawienie tendencyjności bardziej umożliwia jej wpływ praktyczny. W każdym jednak razie prace Anczyca na kartach dziejów dramatu zapisały się głoskami rzeczywistej wartości, jakkolwiek z natury rzeczy trwałość ich musi być przemijająca.

W innym duchu, ale jeszcze silniejsze wywarł wrażenie dramat Anczyca *Kościuszko pod Racławicami*, który na scenie krakowskiej przedstawiony był z powodzeniem i budził ogromny zapał jako dzieło pełne ognistego zapału i wojennej wrzawy. Uwieńczony świeżo drugą nagrodą dramat *Sobieski pod Wiedniem* należy, niestety, już do pośmiertnej a nieznanej dotąd spuścizny po niepospolitym pisarzu.

Nietylko dla ludu umiał pisać Anczyc, ale był także bardzo dobrym popularyzatorem wiedzy dla dzieci i w tym kierunku przysłużył się piśmiennictwu pedagogicznemu szeregiem książeczek, bądź to przyswojonych z obcych języków, bądź to napisanych oryginalnie, z okresu dziejów ojczystych, przyrodoznawstwa i beletrystyki.

Były to prace zarobkowe; autor nie należał do fachowych i metodycznych pedagogów, mimo to jednak posiadał dar pisania malowniczego dla dziatwy, odznaczał się zawsze powabem i jasnością stylu a jako redaktor *Przyjaciela Dzieci* umiał nadać temu pismu cenne zalety.

Jako poeta miał swoje królewskie chwile. Lutnia jego zabrzmiała potęgą spiżowych tonów, które przed dwudziestoma laty wszystkie serca szlachetne wstrząsnęły iskrą zapału. Któż nie zna *Tyrteusza* tego poematu napiętnowanego lwią potęgą, tej apoteozy najszczytniejszego bohaterstwa? Szkoda, że ten utwór, w którym duch patryotyczny wylewa się niby strumień gorącej lawy, postawiony jest jednak na gruncie etycznie fałszywym i sprzecznym z uczuciami, które obudził. Anczyc opiewa tu zwycięstwo łupieskich spartan, którym bohaterski opór stawiała Messena, niechcąca ugiąć karku pod jarzmo militarnej tyranii. Tylko w oderwaniu od danych okoliczności dziejowych, jako wyraz uczuć bohaterskich, jako apoteoza odwagi, broniącej rodzinnego gniazda, *Tyrteusz* może być zaliczony do klejnotów poezyi naszej.

Pięknym w tym rodzaju jest także wiersz *Uczta wyzwoleńca*, będący urywkiem niedokończonej całości. Chociaż Anczyc, jako oryginalny poeta, nic więcej nie stworzył, jednakże jego przekłady rymowane dramatów niemieckich: *Drahomiry* Weilena, *Fedry* Conrada, *Mahabeuszów* Ludwiga, celują mistrzowstwem poetycznej formy, która kojarzy wdzięk z artystyczną jędrnością, nadając poetycznemu stylowi przymioty nieznane nawet w oryginałach.

---

gę. Wybraliśmy się o północy, wszyscy na osłach. Przewodnicy nieśli nam bagaże, a długi pochód rozwijał się na gościńcu wiodącym przez las. Potem przebywaliśmy pastwiska, na których swobodnie pasą się woły. Nakoniec dostaliśmy się w strony skaliste, gdzie nie widać było nawet ziół. Gdzieniegdzie wśród ciemności, to po prawej, to po lewej stronie bieliły się masy olbrzymie, pola śnieżyste wśród otchłani górskiej. Zimno było ścinające, oczy i ręce poczęły palić. Gdyśmy stanęli u szczytu, jeszcze noc była. Rozłożyliśmy nasze zapasy, zamierzywszy powitać wschód szampanem! Niebo zbladło nam po nad głowami. U stóp naszych mogliśmy rozpoznać przepaść, a w odległości pewnej wierzchołek jakiś. Widnokrąg cały pokrył się mgłą. Niezadługo po lewej stronie ujrzeliśmy górę potężną, tak zwaną Dziewiczą, potem drugą i trzecią. Zwolna tak występowały jedna po drugiej, jakby je wyprowadzał z głębokości rodzący się dzień. Jedne wydawały się tak bliskie, że byłeś prawie pewnym dosięgnięcia ich jednym skokiem, inne tak oddalone, że niewielkimi zdawały się punkcikami. Niebo się zaczerwieniło, a wraz z niem i skały wszystkie. Sądziłbyś, że krew ścieka z obłoków. Był to widok wspaniały i prawie straszny zarazem. Wkrótce atoli zabarwiły się na biało obłoki rozpłomienione, a gór zastępy zwolna różowy przybierały kolor, różowy tak delikatny i miękki, jak szaty dziewicze. I słońce zajaśniało po nad błoniami śnieżnemi. I odrazu lodowce stały się białe, tak świetnie białe, jak gdyby widnokrąg cały srebrzyste wypełniły kopuły.

Kobiety w natchnieniu spoglądały na tę scenę, drżały. W tem wystrzelił szampan, książę Vanoris podał Bercie szklankę i zawołał:

— Piję zdrowie margrabiny de Roseveyre!

Wyprostowała się na ośle swoim i odpowiedziała:

— Piję zdrowie wszystkich mych przyjaciół!

W trzy godziny potem wsiedliśmy do pociągu idącego do Genewy i przebiegliśmy dolinę Rodanu. Zaledwie pozostaliśmy sami, Berta, tak szczęśliwa jeszcze i wesoła przed godziną, poczęła szlochać i ukryła twarz w dłoniach. Rzuciłem się jej do nóg.

— Co to znaczy, co ci jest, powiedz, czego chcesz?

Głosem od łez stłumionym odrzekła:

— To mi jest — to jest — że odtąd już przestać muszę być kobietą uczciwą!

W chwili owej stanowczo byłem zdecydowany popełnić głupstwo, wielkie głupstwo. Nie popełniłem go.

Opuściłem Bertę zaraz po przybyciu naszem do Paryża. Później może jednak byłbym na to za słaby.

(Dziennik margrabiego Roseveyre za dwa lata następne nie przedstawia nic godnego uwagi. Pod datą 20 lipca 1883 r taka znajduje się notatka):

20 lipca 1883. Florencya. Smutne wspomnienie. Błądziłem po placu Cassine, gdy dama jakaś kazała stanąć karecie swojej i zawołała mnie. Była to księżna Vanoris. Skorom się zbliżył, rzekła:

— O, margrabio, kochany mój margrabio, jakże się cieszę, że raz przecież pana spotykam. Prędko, prędko mi pan powiedz co nowego o swej małżonce; kobieta to najpowabniejsza, jaką kiedykolwiek poznałam w życiu.

Stałem zdumiony, nie wiedząc, co mówić, a w sercu gwałtowny czułem ból.

Wyjąkałem:

— Nie pytaj mnie o nią, księżno, przed trzema laty straciłem ją!

Schwyciła mię za rękę.

— O, jakże cię żałuję, przyjacielu!

Smutny jestem i niezadowolony. Jakże często myli się przeznaczenie! Ileż to kobiet uczciwych rodzi się, żeby zostać ladacznicami, i dają tego dowody...

Biedna Berto! Ileż z tych ostatnich znów rodzi się na kobiety uczciwe! A ona — więcej, niż wszystkie inne — może — ale, nie myślmy o tem!

Tłom. *Ad. J. C.*

Z tej treściwej charakterystyki łatwo się przekonać można, że wobec świeżej mogiły Anczyca biograf nie potrzebuje się sztukować obłudnym panegiryzmem albo hołdować utartemu zwyczajowi korzystnego mówienia o umarłych, ale z jego prac i pism może upleść żywy wieniec zasługi, w którym tkwi jeden tylko, ale niewiędnący nigdy kwiat poezyi.

K.

JASEŁKA KRAKOWSKIE.

29, lipca.

Przyczyny. — Grätchen. — Skutek miłości. — Zapatrywania się na odsiecz Wiednia. — Program tej uroczystości w Krakowie. — Złote wesele jego ekscelencyi. — Organista z Kurozwęk i p. St. Tarnowski. — Sezon martwy. — Uprawa węgierskiej polityki. — Kobyłeczka.

A. M. D. G. Działo się to w pierwszej połowie r. 1883, za papiestwa Jego Świętobliwości Leona XIII. Biskupem krakowskim był natenczas najprzewielebniejszy ksiądz Albin Dunajewski, namiestnikiem cesarskim hr. Alfred Potocki. P. Rządca wyrabiał wówczas w Krakowie wodę sodową i atrament, p. Zyg. Sarnecki był urzędowym literatem, a policyant nr. 9 stawał na rogu Kleparza, przypatrując się z zajęciem swym glansowanym rękawiczkom i pięknie wyczyszczonym butom. W tym czasie cała Galicya, z Wielkiem Księstwem Krakowskiem na czele, wybiera posłów do Sejmu krajowego a pełen nadziei młodzieniec (niżej podpisany) zamyślał przesłać *Prawdzie* korespondencyę o tej narodowej „szopce." Korespondencya miała być bardzo zajmująca i bardzo długa. Dlaczegojednak nie przesłał jej i następnie zamilkł? Różnie o tem można sądzić. To jednakże faktem, że pełen nadziei młodzieniec ani się nie ożenił, ani został hrabią, ani też poszedł pasać prawowierne owieczki. Krótko mówiąc, tegoroczne wybory sejmowe wprawiły go w tak złoty humor, że postanowił nie pisać o nich wcale, przytem w kasynie niemieckiem poznał przecudną Grätchen, której zawiędłe piersi, spiczaste kolana i popsute zęby kazały mu na długo zapomnieć o wszystkiem, co znał dawniej, miłował lub czem się zachwycał. Dziś — jak rzewnie wyraża się pewien śpiewak z nad Sprei:

„.......... ich liebe alleine
Die Kleine, die Feine, die Reine, die Elne..."

etc. — Julię o popsutych zębach.

Dzięki zaś tej miłości, w usposobieniu i w pojęciach moich stanowcza zaszła przemiana. Dziś czuję się w całej pełni austryackim polakiem, wierzę w błogosławione skrzydła habsburskich rządów i dumny jestem z naszych cygar, muzyki i piwa. Gdy prasa polska wre oburzeniem na wiedeńskiego rajcę p. Mauthnera, który występując przeciw uroczystemu obchodowi zwycięstwa Jana III, szepnął podstępnie *o resurectio Poloniae* przez *finis Austriae*— ja ostatecznie w słowach jego nie dostrzegam żadnych zdrożności. Jako polak austryacki, noszę kontusz w połowie karmazynowy, w połowie czarno-żółty, drogą jest mi zarówno kiełbasa krakowska jak i *blutwurst* wiedeński. Dzieje nasze są dla mnie po większej części zbiorem głupstw i bredni. Jeden tylko Sobieski był królem, jak należy, gdyby bowiem nie on, kto wie, czy cieszylibyśmy się dzisiaj opieką „sprzyjającego" nam rządu — czy na plantacyach grywałaby muzyka co piątek, a p. Paweł Popiel czy byłby ekscelencyą? Oceniając też zasługi Jana III, rad jestem z głębi duszy, iż uroczyście święcić będziemy we wrześniu jego zwycięstwo nad muzułmanami. Wiedeń ocalił —w tem moja miłość dla niego; bohaterstwo, szlachetność nie wchodzą w rachubę.

W taki sposób zapatrując się na sprawę jubileuszu, pragnę, aby uroczystość wypadła jak najświetniej — tak jednak, abyśmy godnie wykazali naszą austryacką polskość. Dlatego, jakkolwiek program obchodu już podobno ułożony, projektuję:

Po odegraniu na rynku przez muzykę narodowego hymnu: *Got erhalte*, wstąpi na trybunę ks. Albin Dunajewski i w natchnionych słowach wyłuszczy zebranym wpływ austryackiego tasaka na porozbiorową dolę polaków w Galicyi, opowie, jak rząd sprzyja... jezuitom, wspomni o świętopietrzu i *zacnym* patryocie p. kardynale Ledóchowskim, wreszcie podniósłszy do góry grzechotkę stańczykowską, zakończy przemowę okrzykiem: *In hoc signo vinces!*

Następnie ukaże się na trybunie brat ks. biskupa, minister finansów. Treść jego przemowy powinna być następująca: Jako rodak łupiłem kraj mój przed jubileuszem, ile mogłem, opodatkowałem, co tylko się dało; po jubileuszu opodatkuję resztę. Uroczystość dzisiejsza przypomina mi właśnie, obywatele, że trzeba nam jak Sobieski myśleć o szczęściu Wiednia — bez względu na dobro kraju. Niech żyją rodacy!

Poczem, po innych jeszcze przemowach, jak dyrektora policyi p. Englischa, udadzą się wszyscy przy odgłosie dzwonów i dźwiękach wspomnianego wyżej „narodowego" hymnu: *Got erhalte* na Wawel. Tu według projektu jakiegoś archeologa czy dentysty, nastąpi średniowieczny pochód starych bab z Kleparza, apoteoza fotografa p. Rzewuskiego, jako estetyka i wnioskodawcy romansów pomnika Mickiewicza z rejtszulą austryacką, turniej czy durniej (słaby jestem na punkcie nazw nietegoczesnych) p. J. Miena, autora *Koników polnych* z „młodym uczonym" p. Nieczują Ziemięckim, nakoniec korowód historyczny strażaków z kucharkami pod przewodnictwem p. Zyg. Cieszkowskiego (hrabia), który odbędzie przedtem uroczysty wjazd na wielbłądzie z Grzegórzek do Krakowa przez rozszerzoną w tym celu bramę Floryańską, przygrywając na drumli — w stroju wschodnim, z kitką u boku, w zawoju tureckim na głowie.

Ale wróćmy do głównej części obchodu. Przed sarkofagiem Jana III p. St. Koźmian będzie miał „krótką, lecz wzruszającą" przemowę o statystkach teatralnych, zwycięstwie wiedeńskiem i p. Hoffmann a p. St. Tarnowski „ze znaną precyzyą" dowiedzie, że Sobieski był pierwszym austryackim polakiem, że zatem stańczykowstwo datuje się nie od r. 1869 t. j. od narodzin *Teki* ale od wyprawy wiedeńskiej t. j. od r. 1683, i że chociaż „katylinarne egzystencye" potępiają *Tekę*, bohaterski król byłby ją zaakceptował i polecił w testamencie narodowi jako źródło wszelkiego zdrowia. Potem wezwie zebranych, aby wobec prochów królewskich złożyli solenną przysięgę, iż odtąd przestaną prenumerować *Nową Reformę*, w redakcyi tego pisma wytłuką szyby i modlić się będą co rano i wieczór, jak on, (taki mądry profesor) i królowa Marysieńka — z francuskiej książki.

Nastąpi otwarcie trumny bohaterskiego króla. Sobieski zostanie ogolony, przyprawi mu się piękne faworytki niemieckie i ubierze w mundur austryackiego kaprala z orderem za włoską kampanię... Tak przebranego odfotografuje p. Rzewuski i w tymże samym stroju figurować będzie Jan III na pamiątkowych medalach.

Po obiedzie przejażdżka na kopiec Kościuszki w celu zwiedzenia fortyfikacyj, następnie teatr z maszynistą Kacprem w roli Sobieskiego, po teatrze bankiet i bal, który rozpocznie się walcem wiedeńskim, odtańczonym przez ks. Marcelinę Czartoryską z księdzem Kalinką, i p. Pawła Popiela z panią Hoffman w stroju wzorzystym matrony polskiej. Wszyscy goście mogą być tylko w austryackich mundurach, albo też w narodowych strojach — koloru czarno-żółtego.

Wreszcie na pamiątkę uroczystości zaprowadzony zostanie w szkołach język niemiecki.

Zanim jednak projekt mój przybierze kształty realne a pierś ozdobi mi za pomysłowość order austryacki — przeniosę was tymczasem czytelnicy na złote wesele jego ekscelencyi, p. Pawła Popiela. Fakt to pierwszorzędnej doniosłości, jedyny w swoim rodzaju. Wprawdzie, gdy w roku zeszłym święcił takiż dzień w swem życiu organista z Kurozwęk, nikogo to nie obchodziło — ale co innego dygnitarz od rur i klawiszów a co innego p. Popiel. Już samo pisywanie przezeń korespondencyj z Konstantynopola w Krakowie... do *Czasu* wskazuje, że jest to umysł nie lada, głowa na wskróś polityczna, nos wytrawny, osobistość wybitna. Nie dziwno więc, że złote wesele jego ekscelencyi przekazano potomności wierszem i prozą, a p. St. Tarnowski uwiecznił je fejletonem. Warto pokosztować tej papki pana na Szlaku. Mdła choć napuszysta, nielogiczna choć hrabska. „Czy w sejmie radzić, czy z uczonymi (p. Skrochowski) rozprawiać, czy stare zabytki w właściwym stylu odnawiać, czy *pojechać* daleko, żeby je tylko oglądać," zawsze on, Popiel — powiada p. Tarnowski — „co wszystko w połączeniu z powagą wieku, składa typ nader rzadki doskonałej, *wszechstronnej* cywilizacyi(!)z dodatkiem i wdziękiem (któż wątpił o wdziękach p. Popiela?) staropolskiej tradycyi i cechy." A jak dzieci wychował! Może mu tego pozazdrościć organista z Kurozwęk. Jeden np. „*wojskową służbą* wyznawał ojcowskie *przekonania polityczne* a w wojsku papieskiem pod Castel-Fidarto stwierdzał znowu jego przekonania *katolickie*" — „najmłodszy poświęcił się służbie bożej a poświęcił snać zupełnie i dobrze, kiedy go (autentyczne) Bóg tak rychło... zabrał do siebie!" „Jak wyglądałby kraj — pyta p. Tarnowski — gdyby każdy dom mógł wyglądać tak, jak ten?" Sądzę, na to nieciekawe pytanie odpowie sobie każdy złatwością; dlatego też idę dalej i donoszę, iż na złotem weselu jego ekscellencyi „nie brakło żadnej *części* Polski *geograficznej* ani też *moralnej* (?!)," że „było tam jak w arce Noego przynajmniej *po parze* (dziękuję za takie porównanie!) litwinów i warszawianow, że depesz nadesłano *także* (czy nie: także?) bez liku," i że „podpisany" (t. j. p. Tarnowski) ofiarowawszy p. Popielowi „luźną duplikatową kartkę z rękopismu *Pana Tadeusza* zrobił tem samemu sobie *największą* przyjemność" — o czem wątpić nie można. Słowem: „Jak Mickiewicz *Pana Tadeusza*, tak chciałoby się ten opis..." pana Tarnowskiego „skończyć słowami: „Patrzcie, patrzcie młodzi". — z prośbą: „dajże panie Boże, żeby to był" ostatni, co tak... bredzi!

Na dzisiaj dam pokój dalszemu pisaniu. Dość nudno teraz w Krakowie. Dzienniki zawiedzione na cholerze, oczekują nowego materyału do zapełniania swych szpalt i wloką żywot blady; hrabiowie jakoś się tego lata nie rodzą, redaktorowie także, p. Koźmian wysłał teatr krakowski na Kalwaryę czy też do Myślenic, odwach się nie zawalił, policyanci w dobrem pozostają zdrowiu — stan rzeczy nie zmieniony. Jeden tylko *Młody czas* czyli tz. *Gazeta krak.* uprawiając politykę węgierską, budzi do życia lubiących się śmiać podwawelan, a czasem, jak na metresę stańczykowską przystało, zwymyśla nieszkodliwie kogoś z postępowców. Ot, zwyczajnie:

Kobyłeczka siwa
Ogoneczkiem kiwa —
Jakże nie ma kiwać
Kiedy *jeszcze* żywa!

Prawdzic.

Prawa fabryczne

i położenie robotników w zachodniej Europie.

V.

Włochy są krajem przeważnie rolniczym. Z pomiędzy 382,000 osób. zajętych pracą fabryczną, przeszło 260,000 przypada na kobiety i dzieci. Jedwabnictwo zatrudnia 212,000 osób, z których 76,000 stanowią dzieci, 120.000 — kobiety, a 16,000 mężczyźni. Jednostka, zarabiająca rocznie 2000 lir. opłaca podatku dochodowego 170 lir. W minach sycylijskich pracuje bardzo wiele dzieci, z których połowa zaledwie do dojrzałego dochodzi wieku. Pacholęta, mające mniej, niż 10 lat życia, nie mogą być, według prawa, używane do robót w kopalniach; w praktyce jednak inaczej się dzieje. W górnictwie nie zaprowadzono dotąd żadnych ulepszeń. Ilość nieszczęśliwych wypadków trzy razy jest większa, niż w Anglii i Belgii, gdzie przecież wydobywaniu węgla kamiennego nie mniejsze towarzyszą trudności. Kierownik robót fabrycznych odpowiada prawnie za każdy błąd, sprowadzający klęskę. Codzienna, obowiązkowa inspekcya galeryj może do pewnego stopnia zapobiedz nieszczęściom; każda przytem kopalnia powinna mieć swego lekarza. Przedsiębiorcy jednak zaprotestowali przeciw wtrącaniu się rządu, naruszającemu prawa i zasady własności.

Ludność robotnicza w najopłakańszym znajduje się stanie. Podatki gruntowe dochodzą do ogromnej wysokości. W niektórych prowincyach Lombardyi wynoszą one 40 do 45% czystego dochodu, obliczanego z 9 do 12 lat przeciętnego zysku. Nie zawsze więc dochód odpowiada wysokości podatku. W Kremonie podatek dochodzi do 60% czystego dochodu. „Contadino“ (chłop-rolnik) biedniejszym jest, aniżeli był kiedykolwiek — powiada Cavallieri Cararo *). W prowincyi weneckiej robotnik wiejski zarabia 7 do 8 cent. na godzinę, w prowincyi Treviso otrzymuje 30 ct. dziennie — i to nie do ręki, lecz do książki na umorzenie starych długów. To też, jak się okazało z procesu, wynikłego z zaburzeń włościańskich w tejże prowincyi, niektórzy chłopi po kilka dni karmić się muszą korą i trawą. W pewnym okręgu prowincyi Vianza wino nieznanem jest pośród biedniejszej ludności. W Contandi proletaryat nie spożywa nigdy mąki pszenicznej ani jęczmiennej, chyba tylko w czasie żniw—i to jedynie —z pokłosia, zebranego przez kobiety i dzieci. Z pośród 97,724 osób, widzianych przez Cavallierego Cararo, 74,198 nie jada wcale mięsa, 36,434 nie pija nigdy wina. Główny ich pokarm stanowi kukurydza.

Domy mieszkalne są nędzne. W prowincyi Mantua istnieją chaty, nie różniące się od buszmańskich lub hotentockich. Nic dziwnego, że stan taki sprowadza choroby. Główną jest szerząca się ciągle „pellagra,“ powstająca skutkiem niedostatecznego pożywienia. Choroba ta skórna w połączeniu z pewnemi nienormalnościami w procesie trawienia i centralnego systemu nerwowego wyniszcza organizm pod wpływem sprzyjających jej rozwojowi gorących promieni słońca i po kilku latach kończy się idyotyzmem lub szaleństwem, a następnie śmiercią. Włochy północne, niektóre okolicy Francyi i Hiszpanii są głównemi jej gniazdami. Odpowiednio szerzą się także i społeczne choroby, czyli zbrodnie, szczególnie kradzież. „Kraść musimy, ażeby siebie, żonę i dziecko zachować przy życiu“ — powiada „contadino.“ Stan taki grozi bliskiem niebezpieczeństwem „wolnej, zjednoczonej Italii.“

*) *Neue Zeit*, 1883, I, str. 46—49.

Minister rolnictwa, przemysłu i handlu wypracował niedawno projekt prawa, noszący nazwę „ustawy społecznej.“ Niektóre dzienniki oficyalne nazwały go „prawem policyi pracy.“ Zmowy według tego projektu nie powinny być w przyszłości uważane za przestępstwo; natomiast zachęta do zmowy karaną być ma nadzwyczaj surowo. Dalej mieści on przepisy, ograniczające pracę kobiet i dzieci w fabrykach i czyniące przedsiębiorców odpowiedzialnymi za wypadki, wynikłe podczas zajęć; następnie idą środki, mające usunąć pellagrę, jak np. zakaz sprzedaży i używania zepsutej kukurydzy; wreszcie kasy ubezpieczeń od starości. Robotnik, chcący się ubezpieczyć, płaci w ciągu 32 lat po 12 lirów rocznie; po upływie tego czasu otrzymuje prawo do pensyi 12 cent. dziennie. Nieporozumienia z przedsiębiorcami usuwane być mają za pośrednictwem biegłych w rodzaju „prud' hommes“ francuskich.

Wielka ta „ustawa społeczna“ będzie właściwie pyłem tylko, rzuconym ludowi włoskiemu przez rządowy liberalizm.

Partya demokratyczna stawia ze swej strony program radykalny, jednogłośnie prawie przyjęty przez 300 jej przedstawicieli na zgromadzeniu w Bolonii. Zastosowanie zasady sprawiedliwego udziału klasy roboczej w dochodzie z wyprodukowanego towaru, prawo wspólnej własności narzędzi roboczych, zaprowadzenie sądów robotniczych, zupełne wykluczenie państwa w kwestyach spornych pomiędzy kapitałem a pracą, wolność sojuszów robotniczych itd. —oto główniejsze żądania. W d. 8 sierpnia b. r. ma się odbyć nowy kongres demokratyczny w Bolonii.

W Austryi do dziś obowiązuje jeszcze ustawa przemysłowa z d. 28 grudnia 1859 r. Nie ogranicza ona pracy kobiet, lecz tylko dzieci i to w sposób niedostateczny. Dzień roboczy dla niedorosłych od lat 10 do 14 wynosić ma 10 godzin, od 14 do 16— 12. W czeskich jednak hutach szklannych, jak powszechnie wiadomo, czas roboczy trwa 17 godzin. Używanie dzieci do pracy nocnej jest wzbronionem.

D. 18 grudnia 1882 r. przyjęto w Izbie poselskiej w trzeciem czytaniu ustawę, mającą podnieść drobny przemysł przez przymusowe stowarzyszenia. „Cel stowarzyszenia (§ 114) polega na pielęgnowaniu ducha obywatelskiego, na zachowaniu i podniesieniu godności stanu pomiędzy członkami, jakoteż na popieraniu wspólnych interesów rzemieślniczych swych współtowarzyszów przez zakładanie kas wzajemnej pomocy, przez zaprowadzanie przemysłu maszynowego i innych metod wytwórczych itd,“ Właściwie jednak przymusowe stowarzyszenia mają służyć jako środek dla zabicia samodzielnych połączeń rzemieślniczych. Te ostatnie bowiem, pomimo ograniczonej swobody, wywierają wpływ swój na rynek roboczy, co się wcale panom majstrom nie podoba. Następstwem tego pierwszego kroku zachowawców austryackich na drodze „reform organicznych,“ mających rozwiązać kwestyę socyalną, będzie zwiększenie tylko proletaryatu.

Panowie Belcredi i Lichtenstein żądali w połowie grudnia roku zeszłego reform ekonomicznych, koniecznych i niezwłocznych, „póki pora jeszcze i póki nas nikt do tego nie zniewala, ażeby nie zmuszać zmęczonego długiem wyczekiwaniem ludu do wywalczenia sobie reform przemocą.“ Dziś jednak ten sam Alojzy Lichtenstein wygłasza apologię absolutyzmu ekonomicznego i odpowiada na deklamacye „przywódców robotniczych przysłowiem francuskiem: „C'est inutile de se fâcher contre les choses, car elles ne s'en font rien“ (nie warto oburzać się przeciw faktom, gdyż one nic sobie z tego nie robią).

Posłowie Schönerer i Fürnkranz przedstawili niedawno Izbie poselskiej projekt prawa „o zajęciu małoletnich i kobiet, o długości dnia roboczego i o odpoczynku niedzielnym w fabrykach lub warsztatach i w miejscach, gdzie się odbywa praca fabryczna.“ Projektowane przepisy co do dzieci niżej lat 14 i długości dnia roboczego nie różnią się od przepisów szwajcarskich. Kobiety co drugi dzień tylko mogą być używane do zajęć fabrycznych.

Zgromadzenie biegłych, zwołane przez komisyę reformy przemysłowej dla zbadania rzeczywistego położenia robotników fabrycznych, skończyło się na czczych deklamacyach. Przedstawiciele grup robotniczych unikali starannie rozpraw o zasadach ekonomicznych z obawy gwałtownego napadu ze strony przeciwników. Kiedy robotnik, Stefan Pauler, radykalista, oświadczył, iż lud nie oczekuje niczego od liberalnych i że wszystkie swoje nadzieje opiera na rewolucyi społecznej, te słowa nadzwyczaj zatrwożyły posła br. Schwegla i Pauler nazajutrz został wydalony z Wiednia. Biegły Paweł Pacher dziwi się, iż w ciągu kilku dni chcianoby rozwiązać kwestyę, która w innych krajach oddawna swobodnie i publicznie się rozbiera i dotąd jeszcze nie jest rozstrzygniętą. Normalny dzień roboczy — powiada on — został zaprowadzony w Szwajcaryi i Anglii, lecz i tam pozwala się na takie odstępstwa od prawa, iż wprowadzenie go jest iluzyjnem tylko. Prawo przemysłowe z 1859 r. ustanawia lat 12 dla dzieci mogących pracować w fabryce, dzisiaj nigdzie nie sprzeciwianoby się podniesieniu tej normy do lat 14.

Węgierska ustawa przemysłowa z 17 lutego 1872 r. nie uszła daleko od austryackiej. Dzień roboczy, podług niej, wynosi dla dzieci od 12 do 14 lat — 8 godzin, od 14 do 16 lat — 10, dla dorosłych — 14. Piekarze w Peszcie podczas ostatniej zmowy wywalczyli sobie także 14 godzin pracy na dobę.

Prawo rosyjskie z d. 1 lipca 1882 r., dotyczące pracy dzieci w fabrykach, ustanawia czas roboczy od 12 do 14 lat — 8 godzin; nocne zajęcia dzieci tego wieku są wzbronione. Młodsze niż lat 12 nie mogą być używane do fabryk. O ile prawo takie u nas jest koniecznem, niech posłuży dla przykładu fabryka Scheiblera w Łodzi, gdzie pracuje 37% dzieci niżej lat 12 *).

Państwa takie, jak Hiszpania, Portugalia itd. nie myślą jeszcze dotąd o prawodawstwie fabrycznem.

Z powyższego zarysu widzimy, iż właściwe ustawodawstwo fabryczne istnieje dotąd tylko w Anglii i Szwajcaryi; inne państwa, jak: Francya, Niemcy, Włochy Austrya zmuszone będą także do uregulowania i uzupełnienia swych przepisów w tym względzie odpowiednio do wymagań czasu. Udoskonalenie jednak prawodawstwa fabrycznego nie wiele wpływa, jak widzieliśmy, na polepszenie położenia klas pracujących. Powstaje więc pytanie, czy korzystnem jest dla robotników domaganie się zaprowadzenia takich ustaw? Odpowiadamy twierdząco. Prawodawstwo fabryczne stało się nieuniknienie środkiem ochronnym klasy roboczej; przyspiesza ono przeistaczanie się rozproszonych procesów robotniczych karłowatej miary w procesy skombinowane większego stopnia społecznego. Niszczy ono wszystkie starożytne formy przejściowe, gdzie władza kapitału ukrytą jest jeszcze po części, zamieniając ją na władzę, bezpośrednią, otwartą.

Dr. A. Złotnicki.

*) *Ateneum*, 1882, grudzień (?),

WYCIECZKA DO ALZACYI.

IV.

Oszczędność, jako cnota zasadnicza. — Ustęp ze sprawozdania zarządu spółki.—Jan Dollfus. — Pralnie i łazienki.—Resursa robotnicza; ogród zoologiczny.—Belfort. — Montbéliard.

Łatwo sobie wyobrazić, jak błogie skutki na zdrowie ciała i duszy wywiera systematyczne uwłaszczanie proletaryatu. Mieszkańcy Mülhuzy mówią z najwyższemi pochwałami o postępowaniu rzeszy robotniczej, osiedlonej na przedmieściu fabrycznem. Pijaństwo, bójki, lichwa prawie nieznane są w nowej tej osadzie. Żadne podszepty socyalistów nie są w stanie poruszyć tych mas spokojnych a pracowitych. Z chlebodawcami fabryk panuje stosunek przyjazny, prawie patryarchalny.

Jedną z podwalin dobrobytu fizycznego i moralnego klas uboższych, ma się rozumieć, obok pewnego ukształcenia, jest cnota oszczędności, tak jak odwrotnie — nieopatrzność i rozrzutność źródłem są prawie wszystkich przywar i występków proletaryatu. Właśnie możność i nadzieja zostania właścicielem domku i ogrodu potężnym tu okazuje się bodźcem oszczędności. Oto ciekawy ustęp ze sprawozdania zarządu za r. 1882, dotyczący tej sprawy. „Tylko takie urządzenie dzielnic, jak nasze, mogło nauczyć robotników oszczędności. Niezbędnym był tu tak uzasadniony, a tak potężny urok własności. Chęć przyśpieszenia ostatecznej wypłaty sprawuje, że nabywcy posuwają nieraz oszczędność aż do skąpstwa. Mając już w ręku przedmiot swych marzeń, zaczyna dopiero pojmować wyrobnik, co znaczą drobne kwoty, gdy się je skrzętnie składa, — kwoty, które pierwej wydawały mu się tak błahemi, że ich zgoła nie cenił. Szczęśliwy ten zwrot w usposobieniu ludzi, tak dotychczas niemyślących o jutrze, należy do najdobroczynniejszych owoców usiłowań naszych. Ci, którzy, w ciągu lat kilkunastu, nabędą nałogu oszczędzania, zachowają go i nadal, gdy się już wypłacą i składać będą każdy zbywający grosz na *czarną godzinę* choroby lub starości. *Tu leży najlepsze, a może jedyne rozwiązanie potężnego zagadnienia społecznego, którego hasłem jest usunięcie proletaryatu ze społeczności nowożytnej.* Dobre nałogi idą w parze z innemi, bo i cnoty i występki zwykle łączą się ze swemi powinowatemi. Razem z oszczędnością, zawitały pod dach robotnika porządek, czystość i stateczność; węzły rodzinne, tak często przedtem nadwerężone, zadzierzgnęły się na nowo. Mülhuza zawdzięczać będzie swoim dzielnicom robotniczym pracowników bardziej inteligentnych, porządniejszych, moralniejszych, przywiązanych do kraju; zastąpią oni dość licznych jeszcze koczowników, przybywających bez zamiaru osiedlenia się, a gotowych opuścić zakłady przy pierwszej nadarzonej sposobności." Sprawozdanie kończy się następnym zwrotem ad hominem: „Wyznajmy teraz i głośno powiedzmy, że jeżeli dzieło to, tak wysoce użyteczne, świetnie się udało i rozwinęło znakomicie, to głównie praktycznej i światłej inicyatywie p. Jana Dollfusa przypisać to należy. On bowiem, energicznie myśl tę popierając, uczynił z dzielnic robotniczych Mülhuzy, rzec można, sprawę osobistą, a jest ona bez zaprzeczenia godną jego umysłu praktycznego, jego szlachetnego serca i wielkiego imienia, które nosi."

Kochanym Ślepowronom naszym wydać się może zabawnem, że o takim mieszczaninie alzackim powiadają, iż „nosi wielkie imię." Otóż niech raczą pamiętać, że tu, na zachodzie Europy, *wielkość imion* mierzy się innym łokciem, niż u nas. Co kraj, to obyczaj.

Po tym krótkim komentarzu, wracam do rzeczy i muszę słów kilka powiedzieć o pralniach i zakładach kąpielowych, któremi opatrzono gród fabryczny.

Z sąsiednich fabryk wypływają całe rzeki wody gorącej, pozostałej po użyciu pary w cylindrach maszynowych. Otóż wodę tę zużytkowano dwojako: na pralnie i na kąpiele. Pralni jest kilka; niektóre z nich stanowią wyłączną własność fabryk i posługują tylko robotnicom, w tych fabrykach pracującym, lub żonom robotników; każda taka kobieta ma prawo bezpłatnie używać tej dogodności po 10 godzin na tydzień. Trzy pralnie zaś są publiczne i dostępne dla wszystkich mieszkanek przedmieścia, za opłatą kilku centymów na godzinę. Największa pralnia pomieścić może 200 piorących, inne po 60 i mniej.

Urządzenie pralni jest następne: w sporym domu mieści się sadzawka, okolona wystającemi nad wodą szerokiemi deskami; na nich klęczy kobieta i pierze bieliznę, używając, ile się podoba, świeżej, około 30 stopni R. ciepłej wody, płynącej ze znajdującego się pod ręką kurka. Na galeryi, otaczającej sadzawkę, stoi kilka wyżymaczek, które w jednej chwili usuwają prawie wszystką wodę z wypranej bielizny. Do suszenia są na lato przewiewne strychy nad pralnią, a na zimę szafy, napełnione gorącem powietrzem, w których bielizna schnie w kilka minut.

Domów kąpielowych jest również kilka. Są tam wanny z lanego żelaza, emaliowane, w oddzielnych, czyściutkich pokoikach; kąpiel kosztuje 15 centymów; kąpiący się dostaje dwa ręczniki i może siedzieć w wannie pół godziny. W jednym z domów kąpielowych urządzono, oprócz wanien, sadzawkę z ciepłą wodą, otwartą do użytku przez rok cały. Ma ona 10 metrów długości, 8 szerokości, 1½ głębokości, służy przewybornie do pływania. Druga obok, dla dzieci, ma 8 m. długości, 4 szerokości i 60 cm. głębokości. Woda przepływa ciągle, zawsze w równej temperaturze. Naokoło urządzone są pokoiki na rozbieranie się i ubieranie. Za kąpiel jednarazową płaci się 5 centymów.

Pomyślano też i o duchowej stronie gromady wyrobniczej. Mówiłem już o ochronkach i szkółkach; pozostaje mi uczynić wzmiankę o resursie robotniczej. Znajduje się ona w mieście właściwem; zajmuje duży dom, wraz z należącym do niego ogrodem. Dwie znacznej wielkości sale służą— jedna na odczyty, koncerta i tańce, druga do gimnastyki; ta ostatnia dostępną jest w każdej chwili. Restauracya, czytelnia dzienników, biblioteka, wszystko to, jak w każdej resursie, znajduje się i tutaj. Urzędownie nazywa się klub ten „kółkiem mülhuzeńskiem." Pewien zacny człowiek ofiarował 100,000 franków na jego założenie w tym celu, iżby „rzemieślnicy, wyrobnicy i wogóle wszyscy mieszkańcy miasta mogli mieć lokal, w którymby znaleźli przyjemną a pożyteczną rozrywkę;" inny znowu ofiarował kawał gruntu—i tak stanął piękny gmach, a w nim rozsiadło się „kółko," liczące obecnie kilka tysięcy członków. Każdy z nich ulega dwutygodniowej próbie, podczas której dawni członkowie mogą wyrazić niezgodzenie się na przyjęcie członka. Statut zabrania w pokojach resursy rozpraw politycznych, religijnych i wogóle głośnych. Urządzono w kółku tem dwa mniejsze, jako to: muzyczne i gimnastyczne. Co tydzień odbywają się bezpłatne odczyty, w języku francuskim, który, jak wogóle w Mülhuzie, tak i w resursie robotniczej jest panującym. Każdy członek opłaca rocznie 7 franków i ma za to: obszerny i ciepły lokal, w którym może siedzieć cały dzień; dzienniki, bibliotekę, odczyty, gimnastykę, koncerta i restauracyę bajecznie tanią; prócz tego ogród przy resursie i drugi, zwany zoologicznym, stoją dla niego i jego rodziny otworem. Ten drugi ogród leży za miastem, przy banhofach; zajmuje sporą przestrzeń, ogarniającą ładne, lasem porosłe wzgórki i ogród właściwy, w którym umieszczono duży zbiór żywych zwierząt i ptaków zamorskich, przyrządy meteorologiczne, gimnastyczne, ogródek botaniczny i restauracyę. Czystość i porządek panują tak w resursie, jak i w pięknym ogrodzie zoologicznym.

Tyle więc uczyniono w Mülhuzie dla wydziedziczonych. Pomyślano i o własności i o umyśle i o wygodach cielesnych brata uboższego. A wszędzie inicyatywa prywatna dała hasło, a przed innemi—„wielkiego imienia" Jan Dollfus.

Fabryk mülhuzeńskich nie będę opisywał: podobne są one do wszystkich fabryk na świecie; tem chyba może od innych się różnią, że uwzględniają potrzebę świeżego powietrza i koniecznych wygód dla robotnic i robotników; nie wyglądają też tak mizernie i ponuro, jak np. zakłady angielskie.

Po kilku dniach, bardzo przyjemnie spędzonych w Mülhuzie, wyruszyliśmy do Francyi; godzina kolei oddziela miasto alzackie od Belfortu. Sławna ta warownia ładnie się przedstawia oczom podróżnika. Okolona wzgórzami, wdziera się na ich szczyty swojemi murami i wałami. Po ostatniej wojnie, na cześć mężnej fortecy i poległych jej obrońców, wykuto w potężnej, pionowej, skale czerwonej, pod murami twierdzy, olbrzymiego lwa wypukło rzeźbionego; widać go z każdego punktu miasteczka, ścielącego się u stóp pagórków warowni. W fortecy i mieście snuje się mnóstwo żołnierstwa francuskiego, o pięknych twarzach i malowniczych mundurach; za miastem murują coraz nowe wały i forty, na zasadzie przysłowia: „si vis pacem.." Opodal na wzgórzach widnieją dwa cmentarze: pruski i francuski, miejsce spoczynku szermierzy z lat 1870 i 1871. Imię Denferta powtarzają tu z czcią i rozrzewnieniem, niemców nie błogosławią...

Na jednem z przedmieść wznoszą się ogromne zakłady spółki Dollfus i Mieg; przytykają do nich domki robotnicze, zupełnie podobne do mülhuzeńskich, bo i tu założono tak zwaną „cité ouvrière," również jak i w pobliskiem Montbéliard i w wielu innych miejscowościach sąsiednich.

Jeszcze godzina drogi, stajemy w Montbéliard, miasteczku malowniczo skupionem na niewysokich pagórkach. Nie wiele tu rzeczy ciekawych: stary zamek o basztach wspaniałych; pomniki Denferta i Cuviera, którzy tu się urodzili; wreszcie ratusz, a na nim napis ogromnemi głoskami: „Wolność, Równość, Braterstwo." Dlaczego *braterstwo*, kiedy się już powiedziało *równość*? Odpowiedź na to pytanie znajdziesz, czytelniku, zwiedzając dzielnice robotnicze Mülhuzy, Belfortu, Montbéliardu i tylu innych miast i miasteczek tej okolicy: *Równość*, to altruizm bierny; *Braterstwo*, to altruizm czynny.

Jan Karłowicz.

WIERSZ JULIUSZA SŁOWACKIEGO
do
ADAMA MICKIEWICZA *).

Mój Adamito—widzisz jak to trudno
Uprawiać cnoty pustynie odludne,
Jaki pot wielki z człowieka się leje,
Gdy o ideał stoi lub ideje.

---

*) Niniejszy wiersz, znajdujący się w bibliotece Ossolińskich pod l. inw. 1792, rzuca jaskrawe światło na stosunek obu poetów w epoce Towiańszczyzny w latach 1843—47. Po chwilowem pojednaniu (w styczniu 1843) obu towiańczyków w imię „prawdy bożej" następuje już w czerwcu t. r. zerwanie nienaturalnego

Dawniej ci ręce jezuitów plotły
Wianeczki i te śpiącemu wkładali,
Leciałeś jako komeciane miotły,
Sił nie zużywszy, byłeś coraz dalej.

Dawniej ploteczka szła naksztalt zegar-
[ka (0)
I ciągle twemi wiewała sztandary, (1)
Lepsza niż sonet ta plotka śmieciarka,
Pełniejsza miodu, niż ruskie puhary (2).

Medale rosły, w olbrzymie posągi, (3)
Dziewki odeskie zmieniały grafinie. (4)
Nie takto widzisz Adamitku nynie (5)
Nie takto nynie — jak to było ongi,
Dziś jezuityzm, jak wąż ciebie łamie, (6)
Ja ci mówiłem... widzisz mój Adamie!

LIBERUM VETO.

Prorocy. — Obfity materyał do wróżb. — Zamiłowanie przewrotów i dotkliwości spokoju. — Olbrzymia mogiła. — Mnożenie nieskończoności. — Groza cyfry. — Wzdychająca obserwacya. — Wulkan i rzezimieszek. — Jak u nas ludzie odpoczywają na letnich mieszkaniach. — Sławni na Ischii. — P. L. Szczerbowicz ukarany. — Apostrofa do *Prawdy* i małe jej sprostowanie.

Czas obecny ma nietylko swoich Mojżeszów, którzy na Synajach układają prawa dla ludu a czasem nawet, ujrzawszy go w pląsach około złotego cielca, rozbijają oburzeni swoje tablice, ale posiada także większych i mniejszych proroków, którzy z groźnych znaków przepowiadają bliski „dzień sądu.“ Kto nie słyszał przerażającego głosu, wołających na puszczy ewangielistów „nowej wiary społecznej,“ ten co najmniej musiał słyszeć ogniem ziejące przepowiednie jakiegoś Jaremiasza na ambonie lub straszne przepowiednie jakiegoś, po 3 kop. od wiersza wyroczni płatnego Abakuka w kolumnach dziennikarskich. Więc rzesza ludzka trwoży się i czegoś bojaźliwie oczekuje, tem bardziej, że w łańcuchu owych złych znaków wyskakują ustawicznie nowe ogniwa. Nie licząc rozmaitych słupów ognistych, na które już dziś najpilniejszy czytelnik *Gazety Świątecznej* filozoficznie się gapi, ani zadziwiających cudów (zresztą — coraz rzadszych), o których nawet organiści z uśmiechem wspominają, w ostatnich latach zdarzyło się tyle wypadków wstrząsającej grozy, że one wystarczyćby mogły tuzinowi proroków do najokropniejszych przepowiedni. Kiedy Izajasz żydów straszył, nie miał pod ręką takich gromów, jak Ringtheater, Berdyczew, Cymbria, cholera w Egipcie i trzęsienie ziemi na Ischii. Nie dziwię się też wcale, ile razy gdziekolwiek spotykam u nas Wernyhorę, który położywszy palce na czole, powiada: „Temi klęskami Bóg ludzi ostrzega, że nadeszła pora sądu.“ Kogo z kim — o co? — mniejsza, dość że pora się zbliża. Jaka? — mniejsza, tyle wiadomo, że cóś się zbliża. To pewnik — bo po *dziś* następuje *jutro*, które w łonie swojem niesie własne wypadki. Ale czy też my, to jest ludzie nienależący do spisu wojskowego, doczekamy się jakiejś porządnej „burzy,“ którą tylu wróżbitów w powietrzu czuje? Nie wiem — wiem tylko, że jej ciągle pożądamy. Doprawdy. Gdy ojciec spojrzy na swe dzieci, żona na męża, siostra na brata — doznają dreszczu, że taki lub inny uragan mógłby im porwać te drogie istoty. Ale skoro owi ojcowie, żony, siostry i bracia zapomną na chwilę o przedmiotach swej miłości, uśmiecha im się nadzieja doczekania wielkiego kataklizmu. Jestże to tylko stara słabość człowieka do widoków silnie wstrząsających? Nie — to wynik dokuczliwości spokoju. Nie dobrze jest znacznej części ludzi w całym świecie, łakną więc jakiejś zmiany bodaj kosztem największych nieszczęść. A gdy najprzyjemniejsza rozrywka człowieczego rodzaju — wojna, zbyt długo na siebie czekać każe, każdy jaskrawszy wypadek przebiega przed oczyma mas, jak ostrzegająca kometa ze złowrogim ogonem. Od paru lat to woda topi, to ogień pali, to ziemia grzebie setki lub tysiące ofiar — cóż dziwnego, że augur, czytający przyszłość i znający upodobania ludzkie, przepowiada dziwy? Maluczko, a na wielkim grobie Ischii staną mężowie, którzy zawołają: posypujcie głowy popiołem, bo oto zbliża się „dzień sądu!“

Tymczasem owa olbrzymia mogiła pozostanie oderwaną od losów świata pamiątką wielkiej boleści. Dlaczego — wielkiej? Czy dlatego, że zawarła w sobie kilka tysięcy ofiar? Nas bliskich lub dalekich świadków klęski przeraża wysoka liczba trupów, a dotkniętych bezpośrednio krewnych i przyjaciół obchodzi jedynie boleść własnego serca. Gdyby trzęsienie ziemi zasypało kilka osób, nazajutrz zapomnielibyśmy o ich śmierci; a przecież śmierć ta byłaby równie wielkim ciosem dla ich rodzin, jak dziś, gdy nastąpiła w połączeniu z tysiącami innych. Nieskończoność, pomnożona przez jakąkolwiek cyfrę, nie da nic więcej w iloczynie nad to, czem jest, i pozostanie tylko nieskończonością. A są, boleści nieskończone, bez granic, których żadne współczucie nawet w przybliżeniu nie ogarnia i nie wyraża. Gdyby zatem jeden tylko piorun rozdarł na Ischii czyjeś serce taką niezmierzoną raną, klęska nie byłaby wcale mniejszą. Ośm tysięcy zabitych! Nas elektryzują owe tysiące i zdaje nam się, że czujemy jakiś wielki smutek, a tymczasem jedna matka, szukająca w gruzach swego dziecka, cierpi straszniej, niż cała Europa, ocierające sobie łzy telegramami. Bluźni i bredzi ten, kto mówi, że odczuwa całą okropność zbiorowej klęski; niema takiej piersi, w której zmieściłby się atom jednej cudzej boleści. Litość mierzy smutki ludzkie statystyką, podczas gdy zmierzyć je można tylko nieskończonością — t. j. niczem. Wzdychająca obserwacya liczy nieszczęśliwych i sądzi, że dodawaniem cyfr obrachowywa wielkość nieszczęść—dziecinne złudzenie.

Z dwojga złego wszakże wolałbym być zabitym przez wulkan, niż przez rabusia. I tamten zbójca, ale przynajmniej nieświadomy i do ukrócenia niemożliwy. Wiadomość o katastrofie na Ischii spotkała mnie na drodze z zakątka naszej ziemi, gdzie żyją dotąd legendy o bandytach, ale gdzie nie trzeba spać z nabitym rewolwerem pod poduszką i gdzie ludziska nie śmieją się z dowcipu i pomysłowości rzezimieszków, aż tu nagle zawiązuje się między moimi towarzyszami następująca rozmowa:

— Fiu, fiu, fiu! — woła jeden trzymający *Kuryera* — słyszycie panowie, co tu piszą: jakiś urzędnik kolei Nadwiślańskiej obmyślił projekt uregulowania stosunku między pracodawcami i pracownikami.

— Piękna rzecz — odzywa się drugi — ale byłoby lepiej, gdyby ten pan wymyślił jakiś sposób ubezpieczania się przeciw złodziejom.

— Pan dobrodziej z Warszawy?

— Wszystko jedno z Warszawy, czy z prowincyi — i tu kradną i tu kradną.

— Aleź...

— Nie aleź! Zimą rzezimieszki tak nas oporządzili, że zabrali nawet nuty. Wywiozłem rodzinę na wieś; drugiego zaraz dnia córki i żona budzą się — nie mają na sobie nawet kołder. Nauczyłem kobiety strzelać i pozostawiłem im rewolwer. Pewnej nocy wchodzi dwóch rabusiów, starsza córka porywa broń i mierzy, a jeden z nich na to spokojnie odpowiada: ej, niech panna schowa tę pukawkę, bo narobimy z was pekeflejszu! Cóż miała strzelać? Zabrali też, ile udźwignąć mogli. Nazwijcie to sobie panowie, czem chcecie, a ja wam powiadam, że takiego złodziejskiego kraju, jak ten biedny nasz stał się od pewnego czasu, w Europie niema, chyba w Azyi.

Zamiast obrony, towarzysze podróży zaczęli przytaczać niezliczone wypadki kradzieży. Jest w tem nieco przesady — pomyślałem. Przejechawszy przez Warszawę, podążyłem do mojej rodziny, przebywającej na letniem mieszkaniu. Zapadał wieczór. Gdy pociąg przysuwał się do stacyi, słyszę odgłosy rzęsistych strzałów w krzakach.

— Co to jest — napad?

— Nie — odpowiada dróżnik — to panie odstraszają złodziei.

Tak u nas ludzie leczą się i odpoczywają po trudach miejskich.

A ciekawa rzecz, czy uwierzyłby niemiec lub anglik, że nas to bardziej rozśmiesza, niż oburza lub smuci? Powstał już nawet osobny rodzaj humorystyki z tematów rzezimieszkowych. No, czy nie lepiej byłoby zginąć na Ischii, na tej Ischii, na której przebywali Eneasz, Mariusz, Lamartine a nawet — „w rybackiej chacie Gennarina pod Lacco Ameno, przed 19 laty mieszkał chwilowo wasz (*Kuryera Warszawskiego*) korespondent T. Zahorowski?“ Warto przynajmniej tam umrzeć, gdzie on żył.

Umrzeć? A któżby myślał o śmierci, mogąc się cieszyć współistnieniem z p. L. Szczerbowiczem-Wieczorem. Co zacz? Dawny, dziś zapomniany, ale kiedyś szczerze pozytywistów bawiący „korepetytor prasy warszawskiej,“ który dawał jej lekcye: filozofii, nauk przyrodniczych, historyi, pedagogiki, estetyki, nadewszystko zaś lingwistyki. Kogo Bóg chce ukarać — powiada przysłowie — temu naprzód rozum odbierze. P. L. Szczerbowicza-Wieczora w ten sposób ukarał. Przedziwny ten mąż, który tak się zna na lingwistyce jak cietrzew na zegarku, który, np. polemizując w *Korespondencie Płockim* z p. Kryńskim wyraz *teleologiczny* bierze za *teologiczny*, wyobraził sobie, że młodzi lingwiści nasi, nawet tak znakomici, jak Baudouin de Courtenay, po to tylko są stworzeni, ażeby niby robaczki świętojańskie pod jego orlemi skrzydłami wzbijali się wysoko. Gdyby był pokornym, ssałby dwie matki lub niebo przebijał; ale ponieważ chce bóść, więc od czasu do czasu niektórzy krytycy, przypiłowawszy mu rogów, przeprowadzają go wesoło jako bohatera tłustego czwartku. Przyjemność tę sprawił sobie niedawno p. A. Kryński, a że przytem odesłał niepoprawnego grzesznika lingwistycznego po wiadomości do rozprawki Baudouina d. C. w *Prawdzie*, więc p. Szczerbowicz-Wieczór tak się odcina: „Muszę wyrazić zdziwienie (!), że *Biblioteka Warszawska* pomieściła na swych kartach *zapędzanie* (sic) pod sztandar pozytywnej *Prawdy*. Co do mnie pozostanę uparcie zwolennikiem dawnych, uniwersalnych (?) powag w dziedzinie lin-

---

stosunku. Słowacki opuszcza sztandar „sprawy bożej,“ który wysoko podniósł jego przeciwnik. Znowu szli odmiennemi drogami i już się podobno nigdy nie zeszli... W autografach pośmiertnych Słowackiego nie brak znacznie ostrzejszych wycieczek a nawet paszkwilów na Mickiewicza. Wiersz, który tu poraz pierwszy ogłaszamy, należy do łagodniejszych objawów długo tłumionego antagonizmu naszych wieszczów.

H. B.

0) Odnosi się do plotek, roznoszonych przez skrzętnych zauszników obu poetów.

1) Pierwotnie: „Leciała twoje podnosić sztandary.“

2) Ostatnie dwa wiersze są bardzo niewyraznie napisane. Waryant ostatniego opiewa: „Matuszki ruskie i ruskie puhary.“

3) Aluzya do stosunku Adama z rosyanami.

4) Słowacki ma tu na myśli wolne życie Mickiewicza w Odesie 1824 r.

5) Z ruskiego „nynie“=dziś.

6) W pierwotnej wersyi: „Czart jakiś twoje ciągle dzieło łamie, sam go wskrzesiłeś.“

gwistyki, a po naukę do *Prawdy* warszawskiej nie pójdę, *już choćby dlatego*, że niezbyt dawno sam miałem szczęście lub nieszczęście uczyć wielu z filarów tego pisma.“ Otóż jeżeli powodem nieufności p. Szczerbowicza do naszej wiedzy jest to, że on nas uczył, czyli żeśmy mieli lichego nauczyciela, to możemy go uspokoić, że ani jeden „filar“ *Prawdy* nie miał tego „nieszczęścia,“ ażeby był przez niego kształconym. Jeżeli zaś szan. lingwista twierdzi, że „wiadomości naukowe nabywał wówczas, gdy luminarze prywatni spoczywali jeszcze w pieluszkach,“ to znowu go upewniam, że „luminarze pozytywni“ już pokończyli studya uniwersyteckie, kiedy p. Szczerbowicz-Wieczór jeszcze bawił się z małemi dziewczynkami. A wtedy budził on w nas tak słabą nadzieję, że nie spodziewaliśmy się, ażeby, zgaszony w pismach warszawskich, zaświecił nawet w *Korespondencie Płockim*. Wynikło to może stąd, że „pozytywiści“ w dzieciństwie „czołgali się na czworakach, wydając brzmienia nieuczłonkowane,“ a ich mniemany mistrz czynił to i czynić będzie prawdopodobnie przez całe życie.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Suchoty Łomży i jej majaczenie w *Kuryerze Codziennym*.—Anegdotka mego przyjaciela.— Targowanie się autonomii z centralizacyą. — Nasze instytucye autonomiczne.

Podejmuję się obsypać złotem lub wyrobić miejsce sekretarza w *Kuryerku* dla każdego, kto potrafi przeprowadzić jakąkolwiek odżywczą arteryę do bezkrwistego organizmu Łomży. Ta suchotnica naszych miast uskarża się teraz przez usta *Kuryera Codziennego* na ogólny upadek sił i zupełny rozstrój wewnętrzny.

„Przed kilku laty wypracowano *plan* regulacyjny miasta, obecnie nawet czytaliśmy w gazetach, że *plan* ten będzie *wprowadzonym* w ścisłe wykonanie; lecz jak istnienie tego *planu* nas wiele nie pocieszało, tak tembardziej obietnica *wprowadzenia* go w wykonanie nie zdoła nas *wprowadzić* w zachwyt. *Plan* istnieje na to, aby leżał w biurku...“

Już sama bezładność mowy dowodzi, że biedna Łomża przebywa teraz jakąś rozpaczliwie osłabiającą gorączkę, ale słuchajmy dalej.

„Często i budujący dostarczają tak wymownych *dokumentów*, że nowo wybite okno lub drzwi, które groziły zawaleniem domowi, po odczytaniu tego *dokumentu* daje wszelką gwarancyę bezpieczeństwa, a dom stawiany przeciw planowi jest z nim najzupełniej zgodny. Czasem *dokumenty* takie obowiązują tylko na parę lat lub nie były czytelne dla wszystkich i po pewnym przeciągu czasu przedawniły się np. przed kilku laty jakiś właściciel placu miał wedle planu wystawić dom piętrowy murowany — tymczasem postawił parterowy i tylko z jedną frontową ścianą murowaną, resztę z drzewa; dokończył owej budowy spokojnie, parę razy już zmienili się lokatorowie i teraz dopiero ma wytoczony proces o nieposłuszeństwo władzy i dom prawdopodobnie będzie zwalony.“

O ile można wyrozumieć gorączkową pacyentkę, chodzi tu po prostu o łapówki, które, dając sławetnym obywatelom możność kręcenia, szkodzą jednocześnie całemu miastu.

Gdym jeszcze szukał klucza do wytłomaczenia sobie zagadek łomżyńskich, przyszło do mnie dwóch moich znajomych: jeden jest pozytywistą, drugi — ideologiem. Zacząwszy rozmawiać o dezorganizacyi naszych miast, przyszliśmy do wniosku, że najlepsze dla nich lekarstwo znalesćby można było w samorządzie. Ale jak dojść do samorządu?

— Wiem już wiem! pyszny środek — zawołał nagle mój idealny przyjaciel.

Słowo projektodawcy uśmiechało mi się oddawna — poprosiłem go więc o śpieszne wyjaśnienie.

— Poczekajcie — przerwał mu w tej chwili pozytywista — opowiem wam wesołą anegdotkę; czekać nie mogę, gdyż zaraz odchodzę.

Kiedym jeszcze był w trzeciej klasie lubelskiego gimnazyum, rozeszła się tam pogłoska, że na niektórych z nas, a w tej liczbie i na mnie, za sprawą inspektora ma zstąpić duch św. w postaci rózeczki...

Strapiony udałem się zaraz do naszego kalefaktora, aby z nim wejść w porozumienie.

— Panie Terlecki—powiadam mu—inspektor oznajmił, że dostanę w skórę...

— A no, kiedy ci powiedział, to święcie weźmiesz...

— Taak... ale panie Terlecki, nie bijcie też bardzo mocno...

Przy tych słowach wsunąłem mu dyskę na tabakę. Na owe czasy był to gruby pieniądz—dla stróża.

Ze spokojnem już sercem poddałem się potem operacyi, która jednak była tak bolesną, jak gdyby pan Terlecki nigdy mojej tabaki nie kosztował... Spłakany, jak bóbr, przychodzę później robić mu wyrzuty.

— Jakiś ty głupi — odpowiada mi kalefaktor — toć gdybym cię bił lekko, toby inspektor zaraz zmiarkował, że coś od ciebie wziąłem...

— Dobra anegdota, no, ale mój drogi, jakiż jest twój cudowny środek—zapytuję ideologa.

— Ej, już nic... tak mi się tylko zdawało.

— Jakto? mówże!

— Kiedy-bo—widzisz — Terlecki bił go równie mocno, jak innych...

Co prawda, to samorząd w pewnych warunkach tylko krew psuje porządnym ludziom. Dowodem — autonomiczne instytucye Galicyi. Cesarsko-królewski minister-rodak zapragnął obłożyć teraz podatkiem Macierz polską, która, jak wiadomo, „handluje“ tylko oświatą. Bardzo słusznie. Galicya tak długo obchodziła się bez elementarzy, iż je dziś z czystem sumieniem można tam uważać za przedmiot zbytku— *ein Luxus-artikel.*

Rozczulającem jest nieraz to targowanie się autonomii z centralizacyą. Sejm krajowy chce np. przedłużyć czas swych obrad— minister czasu tego przedłużyć nie chce. Wywiązuje się dyskusya.

— No, dzieci, możecie bawić się tylko do wtorku.

— Ekscelencyo, kraj wymaga, abyśmy obradowali do piątku.

— O, co z tego, to nic nie będzie — nie pozwolę!

— No, to do czwartku...

— Do czwartku nie można, ale jeśli będziecie grzeczni—to do... środy.

W sali sejmowej radość. Marszałek proponuje uczcić prezesa ministrów przez powstanie. Dzienniki piszą o wielkiej zdobyczy—chyba reporterów?

Nasze instytucye autonomiczne nie doświadczają nigdy takiego ucisku. Ani polska piekarnia (ulica Krucza), ani polska pralnia (Świętojerska), ani Polski hotel (Długa) nie potrzebują nikogo prosić o przedłużenie czasu swych operacyj... Przeciwnie, „obradujący“ tam piekarze i praczki, chcieliby nieraz skrócić termin swej „cichej, a tak dla ogółu niezbędnej pracy.“

Maryan Bohusz.

DZIWNA USTAWA.

Wypadkiem dostała nam się do rąk kopia „Regulaminu kasy dla chorych robotników pracujących w fabryce pod firmą G. François et Comp. w Warszawie.“ Regulamin ten jest tak dziwnym, że nie możemy się oprzeć chęci zwrócenia nań uwagi szerszego koła publiczności. Przejdźmy punkta główniejsze, dotyczące *Krankkassy*. Fundusz kasy gromadzi się stopniowo z wkładów, potrącanych przy każdej dwutygodniowej wypłacie w ilości 3 kop. od każdego rubla zarobku; prócz tego wpływać będą do niej także kary, ściągane z robotników za rozmaite fabryczne przewinienia. Otóż naprzód nie rozumiemy, dlaczego utrzymanie *Krankkassy* ma ciążyć wyłącznie na robotnikach. Istnieje przecież przepis administracyjny, zawierający całkiem inne zastrzeżenie. Przytem bardzo często choroba robotnika jest wynikiem zaniedbania przy urządzaniu fabryki wszelkich środków ostrożności i najelementarniejszych przepisów hygieny; zaniedbanie to pochodzi nieraz z winy fabrykanta, słusznie zatem, żeby on ponosił także koszta leczenia pracujących. Zrozumiał to zarząd kolei Warsz.-Wied. i Warsz.-Bydgos., który do kasy zabezpieczenia składał tyleż, ile wynosiły składki wszyskich robotników; po przekształceniu zaś jej na kasę przezorności i wsparć przyjął na siebie całkowite utrzymanie *Krankkassy*. Tymczasem dyrekcya wzmiankowanej fabryki usuwa się zupełnie od wszelkich wydatków.

Drugim niezrozumiałym dla nas punktem jest szczególna jakaś klasyfikacya chorób na uprzywilejowane i nieuprzywilejowane. Zdawałoby się, że skoro robotnik płaci na utrzymanie *Krankkassy*, to powinien od niej otrzymywać wsparcie bez względu na to, jakiego rodzaju słabością jest dotknięty; dyrekcya jednak sądzi inaczej i postanawia, że dotknięci chorobami zaraźliwemi lub pochodzącemi z pijaństwa z żadnej pomocy korzystać nie mogą. Tu przedewszystkiem zauważyć należy, że jeśli pijak używany jest do pracy w zdrowiu, nie może być pozbawionym pomocy w chorobie — zwłaszcza za swoje pieniądze. Jeśli zaś chodzi o moralność, to, chociaż pijaństwo jest bezwarunkowo złem, rzadko jednak samo przez się bywa przyczyną choroby; zwykle dołączają się też i inne przyczyny, które z moralnością nie mają nic wspólnego. Z drugiej zuów strony przy dobrych chęciach wiele bardzo chorób można przypisać pijaństwu, każdy zatem robotnik, który kiedykolwiek w życiu swojem pił wódkę, będzie się znajdował pod ciągłą groźbą, żeby słabości jego nie odniesiono do tego źródła i nie pozbawiono go przynależnego mu wsparcia.

Paragraf 12-ty regulaminu brzmi: „kasa pozostaje pod zarządem i dozorem głównej dyrekcyi fabryki.“ Jakto, więc ci, którzy ponoszą wszystkie koszta utrzymania kasy, są zupełnie usunięci od wszelkiego udziału w zarządzie i nadzorze nad zebranemi z ich kieszeni funduszami? Przecież w kasie zabezpieczenia kolei Warsz. Wied. i Bydgoskiej, chociaż dyrekcya kolei pokrywała połowę przychodu, jednak zarząd składał się z 4 urzędników i 8 przedstawicieli robotników (t. zw. „opiekunów“); tymczasem w fabryce p. François et Comp. dyrekcya, która nie płaci, przywłaszcza sobie prawo wyłącznego rozporządzania zasobami kasy, nic a nic nie wspominając o jakichkolwiek sprawozdaniach ze swych działań, lub o jakiejkolwiek odpowiedzialności za nadużycia ze strony mianowanych przez nią urzędników. Takie rozporządzanie się cudzemi pieniędzmi bez żadnej kontroli właściwem było być może w czasach patryarchalnych, wątpimy jednak mocno

żeby było odpowiedniem przy obecnych stosunkach.

Wspieranie instytucyj dobroczynnych oraz ofiary dla nich, są to czyny bardzo chwalebne, ale tylko w takim razie, gdy filantrop daje swoje własne pieniądze; dobroczynności zaś z cudzej kieszeni chwalebną nazwać trudno. A jednak rozbierany przez nas regulamin zapowiada, że gdyby kasa z jakiegokolwiek powodu upadła, znajdujący się w niej kapitał przekazanym zostanie na cel dobroczynny. O upadku kasy zarówno jak i o wszystkich sprawach rozstrzygać będzie dyrekcya, ma zatem w każdej chwili prawo oddać złożone przez robotników pieniądze do jakiejkolwiek filantropijnej szkatuły, pozostawiwszy robotników z pustemi rękoma. Jeżeli dyrekcya koniecznie chce uchodzić za miłosierną, niechaj już lepiej ustąpi cokolwiek ze swoich dochodów, a pieniądze robotników zostawi im do rozporządzenia; będzie to daleko lepsze i słuszniejsze.

Robotnik, który się sam wydali lub przez fabrykę wydalonym będzie, ma utracać prawo do wsparcia, jakoteż do zwrotu płaconej składki; ponieważ zaś fabryka zwykle stara się pozbyć wszystkich starszych i słabszych, często zatem zdarzać się może, że robotnik właśnie wtedy będzie oddalonym, kiedy rozwijająca się stopniowo w nim choroba uczyni go niezdatnym na jakiś czas do pracy. Przytem taki, który nawet kilkanaście lat płacił regularnie składkę, niczem nie jest zagwarantowany, że nagłe wydalenie (choćby np. wskutek chwilowego braku roboty) nie pozbawi go możności korzystania z tej *Krankkassy*, w której tyle jego pieniędzy się znajduje.

Nie przypuszczamy, żeby kasa, oparta na takich zasadach, mogła być wprowadzona w życie; sądzimy, że po głębszej rozwadze sama dyrekcya fabryki uzna niemożliwość takiego regulaminu i zmieni go w sposób odpowiedni.

NA ISCHII.

Około 10 wieczorem, 28 lipca gwałtowne trzęsienie ziemi, trwające zaledwie 16 sekund, zamieniło roskoszną Casamicciolę (główne miasto wyspy) w olbrzymią kupę gruzów. Ani jeden dom nie ocalał. Ucierpiały zarówno i inne miejscowości, ale w mniejszym stopniu. Dopiero na drugi dzień w południe otrzymano wiadomość o nieszczęściu w Neapolu. Pośpieszono natychmiast z ratunkiem, który wobec ogromu klęski nie mógł być skutecznym. Z miasta nie pozostało żadnych prawie śladów. Od tygodnia żołnierze odkopują trupów i ranionych, ale robota nie prędko jeszcze będzie ukończoną, a tymczasem grozi nowe niebezpieczeństwo: z mnóstwa gnijących ciał łatwo wywiązać się może zaraza. Depesze telegraficzne krótko, jakby o bitwie, donoszą, że jest 3000 zabitych i 5000 rannych; olbrzymi to procent, bo w miejscowościach dotkniętych trzęsieniem mieszkało tylko 14.000 osób. W Pompei, zalanej niegdyś lawą i zasypanej popiołem, zginęło zaledwie 600 ludzi z ogólnej liczby 12,000 mieszkańców. Ale suche wyliczenie szkód i strat nie daje jeszcze dokładnego pojęcia o rozmiarach katastrofy. Trzeba czytać przejmujące zgrozą opowiadania naocznych świadków albo ludzi, którzy na drugi dzień pośpieszyli na miejsce wypadku. Jęki zasypanych gruzem i ziemią ofiar, ojcowie i matki obłąkani z bólu, szukający dzieci, obawa i przestrach na twarzach wszystkich, ciała zabitych zgniecione na miazgę, składają się na obraz, którego okropność przechodzi wszystko to, cokolwiek słyszeliśmy kiedy o największych klęskach, jakie dotknęły ludzi. Wielu umarło z przestrachu, wielu bardzo utraciło zmysły, wzrok i mowę. Ratunek w pierwszej chwili był prawie niemożliwym. Przybycie pomocy z Neapolu opóźniło się o kilkanaście godzin, ponieważ telegraf na Ischii został popsuty, albo, jak inni mówią, telegrafista wyszedł o g. 9 z biura i niepodobna go było potem odnaleść. Nadzwyczajne gorąco przyśpiesza rozkład ciał. Zgromadzono wprawdzie na prędce ogromne zapasy środków dezinfekcyjnych, całe okręty napełnione wapnem, beczki kwasu karbolowego, dzień i noc płoną ogromne stosy drzewa oblanego smołą, ale wszystko to okazuje się niedostatecznem. Dla uniknięcia zarazy postanowiono dalszych poszukiwań, jako już bezcelowych zaprzestać, ruiny zrównać z ziemią i pokryć warstwą wapna. Istnieje nawet projekt zupełnego opuszczenia wyspy i pozostawienia jej na zawsze niezamieszkałą.

Przyczyny wypadku nie są dotychczas dokładnie znane. Z początku sądzono, że to jest zwyczajne trzęsienie ziemi. W istocie cała wyspa jest natury wulkanicznej, ale krater Epomeo od kilkuset lat nie wybuchał wcale. Zdarzały się wprawdzie niejednokrotnie trzęsienia ziemi (ostatnie w 1867 r.), ale obecnie żadne oznaki nie wskazywały powiększenia czynności wulkanicznej. Zdaje się więc bardzo prawdopodobnem, że wstrząśnienie wywołane było zawaleniem się pustej podziemnej przestrzeni. Głównym powodem jej utworzenia były liczne źródła gorące, nader bogate w rozpuszczone części mineralne. Jedno źródło, według obliczeń korespondenta *Gazety Frankfurckiej*, unosi rocznie 3300 centnarów części stałych; a jest ich przeszło dwadzieścia. Ponieważ wszystkie prawie biorą początek z jednej pieczary, tak więc opróżniły ją powoli, że nie wytrzymała nacisku mas, wznoszących się nad nią. Środek wstrząśnienia nie znajduje się zbyt głęboko, bo gdyby leżał niżej dna morskiego, ruch przeniósłby się na sąsiednią wyspę Procidę.

Inni znowu widzą przyczynę katastrofy w wybuchu pary. Niektóre z gorących źródeł na Ischii mają temperaturę 97° C. W niektórych miejscach w morzu istnieją prądy o temperaturze 75° C.—muszą więc w głębinie znajdować się masy wód, ogrzane do 100—120° C. Jeżeli znaczna ilość tej gorącej wody dostanie się do podziemnej pieczary lub wogóle tam, gdzie ciśnienie jest mniejsze, powstaje w jednej chwili taka obfitość pary, że wywołać może wybuch, przypominający eksplozyę kotłów parowych.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 8 sierpnia.

Efektowne wypadki. — Demonstracye irlandzkie. — Zwierzenia prof. Wagnera.—Śmierć cesarza anamskiego,—Dymisya hr. Potockiego. — Nowe kombinacye na półwyspie bałkańskim. — Rozruchy antisemickie w Peszcie.

Ciszę, panującą od paru tygodni w polityce przerwały niespodziewanie wypadki, jakkolwiek pozbawione doniośleszego znaczenia, ale zato dosyć efektowne. Proces tisza-eszlarski, który zakończył się uwolnieniem wszystkich oskarżonych dał powód węgierskim antisemitom do wywołania awantur skierowanych przeciw żydom. W Nyjregyhaza skończyło się wszystko na wytłuczeniu kilku szyb w mieszkaniach obrońców, ale w Presburgu rozruchy przybrały szerszy zakres. Dla uśmierzenia wzburzonej ludności policya i miejscowa załoga nie wystarczyły, sprowadzono więc posiłki, które dopiero poskromiły antisemitów. Jednocześnie prawie, jak donosi komunikat urzędowy, w Ekaterynosławiu z powodu pobicia jakiejś kobiety przez kupca izraelitę, tłum rzucił się na sklepy i domy zamieszkałe przez żydów, niszcząc i rabując wszystko, cokolwiek wpadło mu w ręce. Zaburzenia przeciągnęły się do późnej nocy. Dla przywrócenia spokojności miejscowe siły okazały się niedostatecznemi, przywołano więc kozaków aż z Charkowa. Podczas zaburzeń zginęło ze strony tłumu 10 a 13 zostało ranionych, z których 4, jak donoszą późniejsze telegramy, zmarło w szpitalu. Główny udział w zamieszkach przyjmowali robotnicy przy budującej się drodze żelaznej.

W Tryeście ktoś na ulicy rzucił bombę. Dla czego i przeciw komu śledztwo dotychczas nie wykryło.

W Paryżu policya republikańska wpadła na trop legitymistowskiego spisku. Cała ta historya nic poważnego w sobie nie kryje, gdy zaś ją łączą z odkryciem tajemnej, politycznej organizacyi woźniców, poprostu zakrawa na farsę.

W Hiszpanii natomiast wybuchła prawdziwa rewolucya. W Badajoz stolicy Estremadury wojsko i lud aresztowali władze, rozbroili policyę i ogłosili rzeczpospolitą. Zamach ten wszakże nie znalazł poparcia w sąsiednich miastach. Rząd przedsięwziął odrazu energiczne środki, znaczne siły wojskowe nader szybko zostały skoncentrowane i zajęły Badajoz prawie bez oporu. Powstańcy bądź to złożyli broń, bądź też cofnęli się w nieładzie ku granicy portugalskiej. W chwili, gdy to piszemy ruch uważać można za stłumiony.

Zgon Careya był pierwszym aktem zemsty, spełnionej przez patryotów irlandzkich nad zdrajcami sprawy narodowej. Wkrótce potem w New-Yorku padł z ręki zabójcy drugi świadek korony niejaki Motley. Krwawe te tryumfy święcili irlandczycy uroczyście. Ulice Dublinu były wspaniale iluminowane, na zaimprowizowanych stosach spalono wizerunki zamordowanych szpiegów. Nie obeszło się naturalnie bez utarczek z policyą. Sądy angielskie pociągnęły się przeszło sto osób do odpowiedzialności za awantury uliczne. Ohydna polityka ministrów brytańskich, jawnie przekupujących świadków doprowadziła w końcu do krwawego odwetu. Nowe prześladowania nie lepszy zapewne plon wydadzą.

Dzienniki niemieckie i rosyjskie toczą zawziętą polemikę, z powodu rewelacyj znanego profesora A. Wagnera, który złudzony polskiem brzmieniem nazwiska, odwiedzającego go rosyjskiego uczonego, poczynił mu pewne niedyskretne zwierzenia dotyczące kwestyi polskiej i prowincyj nadbałtyckich. Obecnie Wagner zapiera się swych słów, twierdząc, że o kraju ostzejskim nic nie mówił, wyraził tylko platoniczne swe sympatye dla polaków.

Wojna w Tonkinie zaczęła się już na prawdę. Telegramy donoszą o pomyślnych wycieczkach francuzów, uwieńczonych krwawem zwycięstwem nad anamitami. Nagła śmierć cesarza Tu-Duka i przewidywane spory o następstwo tronu wpłyną może na prędkie ukończenie walki.

Dymisya hr. Potockiego stała się wreszcie faktem. Następca jego dotychczas nie został mianowany. Podobno byly namiestnik popiera kandydaturę p. Zaleskiego, na złość stańczykom, z którymi poróżnił się w ostatnich czasach.

Na półwyspie bałkańskim przygotowują się nowe jakieś kombinacye polityczne. Wprawdzie w Albanii ucichło, ale uzbrojenie Rumunii, podróż księcia czarnogórskiego do Konstantynopola i projektowane małżeństwa jego córek z księciem bulgarskim i pretendentem do tronu serbskiego Piotrem Karageorgiewiczem, nie dają spać podejrzliwym politykom austryackim, wywołując im przed oczy widmo związku ludów bałkańskich.

Ostatnie telegramy z Pesztu donoszą o rozruchach anty-żydowskich w tem mieście, wywołanych przybyciem rodziny Scharfa.

CUDZE GŁOSY.

Ciekawa agitacya. *Nowa Reforma* donosi, że znaczna część duchowieństwa katolickiego w Galicyi występuje z zaciekłością przeciw towarzystwu oświaty ludowej. Dziennik krakowski na poparcie swych słów przytacza wyjątek z kazania pewnego „zacnego kapłana“ w Oświecimie:

„Wy jednak wszyscy, którzybyście chcieli dostąpić odpustu, a macie niewypełniać wszystkich przepisanych modlitw i dobrych uczynków, idźcie zaraz na plebanię i każcie się wypisać z książki wpisanych do szkaplerza Matki boskiej, a każcie się raczej wpisać do oświaty ludowej, do tych liberałów, farmazonów, komunistów itd.“

Nie ma się czemu tak bardzo dziwić, duchowieństwo wstępuje tylko w ślady swego zwierzchnika, ks. biskupa Dunajewskiego.

Słomka w cudzem oku. *Wiek*, wspominając o wstępnym artykule gazety *Nowosti*, poświęconym zaburzeniom przeciw-żydowskim w Ekaterynosławiu, słusznie zarzuca petersburskiemu dziennikowi zupełny brak analizy tego smutnego faktu:

„Gdy napastnikami nie kieruje ani chciwość, ani żadna z pobudek rządzących zwykłym łupiezcą, gdy gwałt, bo juźci jest to gwałt i szalony, ma wszelkie cechy protestacyi, wypowiadanej z fanatyzmem coraz silniejszym, coraz bardziej oderwanym, poczynającym nie liczyć się już nawet ze strzałami karabinowymi, starają się natomiast *Nowosti* wyzyskać to wydarzenie na korzyść swoich współplemienników i znowu niewiadomo po raz już który domagają się zniesienia ograniczeń dla ludności żydowskiej, dopuszczenia, aby ludność ta w całem państwie mieszkać mogła. Więcej nic.

Smutno pomyśleć, że ani jednego słowa z duszy i serca pod adresem żydów, ani jednego słowa ludzkiego nie wypowiada żaden organ żydowski przy tak krwawej sposobności. Nic. Tylko myśl o własnych interesach, o własnych korzyściach.“

Dziwnie to trochę brzmi w porównaniu z treścią całego artykułu:

„My mieszkańcy Królestwa i gubernij przyległych, tak zaludnionych żydowstwem, głębiej rzecz rozważywszy, nie powinniśmy mieć nic przeciw temu, aby żydom pozwolono w całem imperyum operować. Przeciwnie radzi temu pomysłowi być powinniśmy, bo zawsze opuściłaby nasze strony część tego i rozlała się po dalszych itd.“

Dalej w tym samym tonie. Trudno doprawdy dopatrzeć w tem również ciepła i serdeczności.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Kraszewski wypuszczony został na wolność za kaucyą 30,000 franków.

Pierwsza polska wyprawa do Afryki — jak kiedyś dumnie nazywano podróż p. Rogozińskiego dla zbadania jezior Liba — zrodziła się widocznie pod nieszczęśliwą gwiazdą. Zawiedziony w nadziei otrzymania z publicznych składek zebranego funduszu jej przywódca z trudem zdobył ledwie wystarczające środki i gdy z towarzyszami przybył na miejsce, statek jego „Łucya Małgorzata“ rozbił się o skały, przyczem jeden z uczestników wyprawy (p. Ostaszewski) jadący na łodzi, omal nie utonął a jakiegoś doktora szwajcarskiego pochłonęły fale. Piszac nekrolog swej „Łucyi-Małgorzacie“ w *Kuryerze Warszawskim*, donosi, że miejsce jej zgonu nosić odtąd będzie nazwę *Lucy-Rocks*. Przyznajmy, że po stracie 25,000 franków, gdyby one na nieboszczkę wyszły z publicznej ofiary, niewielka byłaby to pociecha, że jej imieniem ochrzczono skały afrykańskie.

Karność szkolna. *Prawitelstwiennyj Wiestnik* zamieszcza cyrkularz ministra oświaty do kuratorów, zaznaczający, że w 13 gimnazyach, 1 progimnazyum i 10 szkołach realnych zdarzyły się wypadki świadczące o wpływie na młodzież rewolucyjnej propagandy a w 14 gimnazyach i 4 szkołach realnych miały miejsce zbiorowe nieporządki. Oprócz tego zauważono, że w wielu miejscowościach uczniowie zachowują się nader nieprzyzwoicie. Z faktów tych wynika, że główną przyczyną złego jest osłabienie kontroli i nieprzestrzeganie przez władze karności szkolnej. W celu zapobieżenia na przyszłość podobnym objawom ministeryum zaleca podwładnym organom ścisłe trzymanie się wydanych poprzednio przepisów i baczne zwracanie uwagi nietylko na postępy w naukach, lecz i na sprawowanie młodzieży.

C. k. przychylność. Władze podatkowe we Lwowie ściągnęły od aktu fundacyjnego „Macierzy polskiej,“ instytucyi mającej na celu rozwój oświaty ludowej — opłatę w ilości 2295 guldenów! Nie ma co mówić — „rząd nam sprzyja!“

Odezwa. W Krakowie pod przewodnictwem marszałka Zyblikiewicza utworzył się komitet celem zakupu obrazu Matejki „Sobieski pod Wiedniem.“ Komitet wzywa osoby prywatne, a szczególniej korporacye i instytucye finansowe o śpieszne nadsyłanie składek pod adresem kasy Towarzystwa wzajemnego kredytu w Krakowie. Ofiary przyjmuje się tylko do 1-go września r. b.

Wydawnictwo poetów polsko-łacińskich. Akademia krakowska powierzyła prof. Morawskiemu redakcyę zbioru dzieł poetów polsko-łacińskich z XVI i XVII wieku. Pomoc w tej sprawie przyrzekli już prof. Węclewski, Ćwikliński i inni. Każdy z nich zajmie się opracowaniem dzieł jednego poety.

Ciekawy zabytek. Pewien anglik zdołał ukraść w Arabii starożytny rękopis „Pięcioksiągu Mojżesza,“ sięgający, według zdania znawców, 960 lat przed Chr. Zawiera on dość znaczną ilość różnic od tekstu powszechnie przyjętego (np. pierwsze dwa przykazania połączone są w jedno, z dodatkiem: „nie będziesz nienawidził brata w sercu swojem“). Posiadacz żąda 30,000, a jak inne gazety donoszą, 30,000,000 franków.

Bibliografia polska. Dr. J. Polak, *Wskazówki pielęgnowania dzieci w pierwszym roku życia*, podług książeczki wydanej w Genewie przez prof. d'Espine. Warszawa.

— Tadeusz Rutowski, *Przemysł cukrowniczy*, jego wpływ na rolnictwo i znaczenie w gospodarstwie narodowem, Kraków.

Prasa rosyjska. Gazeta *Ruskij Kurjer*, za uporczywe trzymanie się, pomimo niejednokrotnych kar, szkodliwego kierunku, ujawniającego się w zdaniach o istniejącym ustroju państwowym, jakoteż w doborze i fałszywem oświetlaniu faktów, dotyczących bytu włościan, z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych otrzymała pierwsze ostrzeżenie.

Kolonizacya. *Ruś* przytacza dane statystyczne, dotyczące niemców osiedlonych w g. wołyńskiej. Liczą ich 15,747 rodzin, składających się z 87,131 osób. 68,830 ludzi przyjęło poddaństwo rosyjskie i posiada na własność 290,000 diesiatyn ziemi, zaś 18,301 pozostało poddanymi zagranicznymi. Własność tych ostatnich wynosi 162,000 diesiatyn.

Polacy w Ameryce. W Chicago mieszka około 70,000 polaków, pochodzących głównie ze Szląska i Poznańskiego Większość ma się bardzo dobrze.

Teatr. Nowa komedya Fredry (syna) p. t. *Poślępiona* wystawioną zostanie wkrótce na scenie lwowskiej.

— Administracyę teatru polskiego w Petersburgu objąć ma jeden z miejscowych dziennikarzy, kierownictwo zaś artystyczne powierzone będzie p. Szymanowskiemu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. D. w Lublinie. Listu Pańskiego bezimiennego i zawierającego ogólnikową skargę na dyrektora zakładu w Nałęczowie — zużytkować nie możemy.

P. Wier. w Kownie. Objaśnić może pana jedynie prof. Rostafiński, zdaje się wszakże, że potrzebnemi będą i wiadomości dotyczace Litwy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Іюля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.